

Dekada Literacka

Kraków ■ 1 — 15 IX 1992 r. ■ Dwutygodnik ■ Nr 17(53) ■ Cena 3000 zł

● Rozmowa z rosyjską opozycjonistką ● Książki dzieciństwa Jacka Łukasiewicza ● Proza Pilcha ● List z Londynu ● Balbus o Markiewiczu ● Maciąg o Ściborze-Rylskim



kiem Galvaniego, cuda elektrycznych ogniw i dzwonków, panowie z wąsami i w tużurkach manipulujący z namaszczeniem zwojami drutów i naczyńiami z kwasem, aby przywołać ducha w maszynę ku uciesze gawiedzi. Na pierwszy rzut oka Schulza interesuje raczej socjologia i psychologia społeczna wieku odkryć technicznych niż sama ich materia. W rzeczywistości o problemach wiedzy ściślej pisarz myślał znacznie bardziej serio niżby się zdawało. Świadczy o tym króciutka recenzja-felieton poświęcony *Muzyce nocą* Huxleya. Jest to, jak sędzi, jeden z najważniejszych tekstów Schulza, pokazuje bowiem bez obłony, jakie było jego „światowidzenie”, osadzenie w rzeczywistości, którą mu przyrzadzili dwudziesto-

Jak to rozumieć? Że pisarz przyklasuje anarchii, żywiołowi będącemu pożywką dla demonów, które i jego w końcu pochłonię? Czy może akceptuje chaos, marząc o nowej budowlu sensu, którą z niego wzniesie? Albo — że lekając się odmetów, zarazem masochistycznie im sprzyja i brnie ku samozniszczeniu? Trudno to rozstrzygnąć, bo też owo „dobrze się stało” brzmi dość niepewnie: ani to stwierdzenie faktu, ani wyraz własnych przekonań — raczej sąd wypowiedziany na próbę, połowiczna akceptacja czegoś, czego nie da się tak uniknąć. Ciekawsze może, jak Schulz zamierzał „odbudować się z gruzów”. I to „według swego widzi-misję”. Rzecz pewna przynajmniej, iż nie

stwie — jest hipoteza pierwotnej jedności świata i — co ważne — pierwotnej jedności twórczej energii, która powołała do życia rzeczywistość w całym jej oszalałym bogactwie i różnorodności.

Owo dążenie do jedności, do całości znajdziemy na wielu poziomach pisarstwa Schulza — i to począwszy od płaszczyzny najbardziej ogólnej. Zwraca to uwagę paradoksalnie dlatego, że twórczość drohobyckiego autora zachowała się tylko w części, a pozostały jej odłam do dziś czeka na odkrycie. I jeszcze jedno — równie paradoksalne spostrzeżenie: że materiał opowieści ułożony w postaci dwóch zachowanych tomów wychodzi poza ich okładki, co może oznaczać, iż więzy łączące te opowieści w ramach

SCHULZ: spojrzenie w przyszłość

Jerzy Jarzębski

W świadomości milionów czytelników Schulz jawi się zazwyczaj jako przybysz z odległej, zagubionej w odmętach historii Atlantydy. Tak zresztą nazwał swą książkę o Drohobyczu dawny jego uczeń, Andrzej Chciuk¹. Stara, pożółkła fotografia (jeśli nie dagerotyp), na niej parterowe, najwyższej piętrowe domki, kocie łby, hieratyczne postacie brodatych Żydów, może jakieś — wzruszające dzisiaj — dokumenty „zepsucia”, które przyszło do miasteczka wraz z odkryciem nafty z przełomu wieków. Wątpli chłopiec, który prześlizguje się przez ten świat, potem drobnutki, nieśmiały nauczyciel rysunku i robót ręcznych zdaje się być z pozoru cały oddany minionemu.

Czy taki był Schulz naprawdę: odwrócony ku przeszłości, zleknioty tym, co nowe, ocalający tylko resztki dawnego świata? W istocie był świadkiem prawdziwej rewolucji przeorującej najgłębiej rzeczywistość wczesnego dzieciństwa, ale czy sam stał bez reszty po stronie tego, co odchodziło?

Zawsze intrygowała mnie zaświadczone przez przyjaciół namietność Schulza do nauk ścisłych: matematyki, fizyki, jego znajomość technicznych nowinek². Już samo to kazałoby sądzić, że w jego osobowości spójne były ze sobą dwa rodzaje tworzywa i Janusowe miała ona oblicze. Tyle, że z dwu twarzy jedna tylko — nostalgiczna — odślaniałaby się w pełni, podczas gdy druga była raczej przysłonięta, pojawiająca się z rzadka i na krótkie chwile.

W opowieściach Schulza technika pojawia się niekiedy, ale w aurze nie całkiem poważnej.

Eksperymenty elektrotechniczne Ojca z *Komety* już w latach trzydziestych musiały być odbierane jako uroczą staroświecczyną: epatowanie dam zjawis-

wieczni fizycy i filozofowie. Świat końca zeszłego stulecia zaiste wyglądał przytulnie w zestawieniu ze współczesnością: „Trzon dogmatów życiowych był jeszcze nienaruszony. Mądry starzec nie wiedział jeszcze o zdradliwości nauk przyrodniczych, żywił prostoduszną i naiwną wiarę w atomy i materię. Jego kosmos miał w porównaniu do kosmosu kobolda stosunkowo ludzkie proporcje. Był wymierzony w kategoriach myśli ludzkiej. Od czasów dobrego starca przeszedł świat wiele sit o ciasnych okach, w których zostawiał stopniowo swą konsystencję. Freudyzm i psychoanaliza, teoria względności i mikrofizyka, kwanty i geometria nieeuklidesowa. To, co przesaczyło się przez te sita, to już był świat niepodobny do świata, fauna śluzowata i bezforemna, plankton o konturach płynnych i falujących”³.

Może „kobold” to Aldous Huxley, a „mądry starzec” jest jego dziadem, Tomaszem, a może parę ową stanowią — sam Schulz (narzeczona nazywała go „koboldem”) i jego ojciec. Wyrokować o tym na podstawie tekstu trudno, choć ta hipoteza odpowiedniości Huxleyów i Schulzów (starego i młodego) brzmi ciekawie. Autor eseju opisuje tu świat wielorakich relatywizmów, który wyłonił się z antypozytywistycznego przełomu, świat, w którym runęły wszelkie prawa i hierarchie, a dobrze dotąd określone kategorie uległy rozmyciu.

Pytanie, które w tym miejscu cisnie się na usta, jest jednym z najistotniejszych pytań, jakie można zadać Schulzowi jako myślicielowi i artyście.

Pytamy mianowicie, jaki był jego osobisty stosunek do przemian zachodzących w obrazie świata: czy akceptował je, czy odrzucał?

Jak w ich świetle rozumiał funkcje własnej twórczości?

Powiada Schulz na zakończenie felietonu:

„I może dobrze się stało, że wszystko legło w gruzy, że nie ma już żadnych świętości, więzów, praw i dogmatów, że wszystko jest dozwolone i wszystkiego można się spodziewać, że wolno raz według swego kaprysu odbudować się z gruzów — według swego widzi-misję, według chimery, której się jeszcze nie przeczuwa”⁴.

próbował stworzyć na swój użytek własnej fizyki czy kosmologii, miał jednak do dyspozycji literaturę i może tam warto poszukać odpowiedzi na pytanie o planowej rekonstrukcji świata.

Do czego zmierzam? Otóż, chciałbym dowiedzieć, że opowieści Schulza nie są bynajmniej jakąś żydowską wersją *Pana Tadeusza*: hymnem na cześć odchodzącej kultury. Przyswiewia im, jak się zdaje, idea nieco odmiennej natury. Aby ją wyluskać, przyjrzyjmy się bez uprzedzenia *Mityzacji rzeczywistości* czy opowiadaniom zawierającym enuncjacje teoretyczne lub światopoglądowe, jak *Traktat o manekinach* czy *Księga*. Dziwne to teksty, jeśli je zestawimy z rozważaniami Schulza na tematy naukowe: jest bowiem tak, jakby w nich znalazła odbicie inna całość warstwa jego światopoglądu. Autor *Sklepów cyrkonowych* nie był — jak twierdzą jego przyjaciele — religijny, choć, zdaniem niektórych, można by go nazwać deistą. Niezależnie od tego status sądów wygłaszanych przezeń w tamtych tekstach musi się różnić od statusu normalnej wypowiedzi odautorskiej. Przysługuje im, jak się zdaje, właściwy literaturze charakter wypowiedzi o niepełnej asercji, choć zarazem doniosłość ich nie podlega dyskusji.

Mityzacja rzeczywistości jest zatem nie jakąś naukową teorią na temat powstania i funkcjonowania mitów, ale zwięźnięciem pewnej konstrukcji literackiej, którą Schulz przeciwstawia obrazowi świata wyłaniającemu się z dokonań współczesnej wiedzy ścisłej. Uzgadnianie tego obrazu z nauką to trochę jakby uzgadnianie księgi *Genesis* z dzisiejszą kosmogonią — trud dość jałowy, skoro punkt wyjścia i zamiast obydwu wizji były całkiem różne.

Pisząc swój najważniejszy tekst programowy, Schulz znalazł się jakby w zupełnie innej sferze niż ta, z której przyglądał się destrukcji znanego świata w „Muzyce nocą”.

Działające tam siły wystylizował podług biblijnych wzorców, bo te najlepiej służyły mu na terenie literatury, mógł im jednak nadać inne oblicze — nie takie to w końcu ważne. Najistotniejsza w *Mityzacji rzeczywistości* — i w całym Schulza pisar-

obydwu wydanych za życia autora książek są w istocie słabsze niż te, które je wiążą wszystkie w obrębie całej twórczości Schulza — choćby była ona nie dokonczona czy okaleczona. O utworach tych zatem wiemy, że stanowią jedynie fragment hipotetycznej Całości, a przy tym każdy ze znanych tekstów w owej Całości znajduje sobie miejsce, żaden nie funkcjonuje osobno, bez związku z pozostałymi.

(ciąg dalszy na str. 4)

Krzysztof Lisowski

Lato 1906 roku

Lato 1906 roku jest równie upalnie jak to.

Wysychają strumyki i kałamarze, trawy płowieją,

w kamiennym loszku

bryły zimowego lodu

topnieją jak masło.

Mój ojciec w Iniane czapeczce

siedzi pod krzakiem porzeczeki,

czeka na swego tatę,

który nadjeżdża bryczką,

zrzuca pudermantel

i opędzając się kapeluszem

od fioletoowych much

biegnie ku studni.

Najpierw oblewa się wodą

z wiadra,

potem porywa synka

i przyciska go ze śmiechem

do mokrej koszuli.

Przyglądam się ich radości —

tylko ja

nic tchnienie

w chwiejnych malwach,

zasłonięte drzewkiem barwinku.

Nie domyślają się wcale

jak bardzo ich kocham.

3.08.1992 r.

Bzik kompromitacji

WŁODZIMIERZ PAŹNIEWSKI

Mania, która pustoszy współczesną Polskę, stała się dowodem złego użytkowania wolności. To tak jakby z zakładów zamkniętych wyszło na przepustkę trzydzieści milionów pacjentów. Ponieważ za ogrodzeniem wszystko już wolno, punktualnie zjawia się tęsknota do strzeżonych bram i regulaminów. Ludzi pozbawionych nadzorców i pielęgniarzy ogarnął bzik, czyli obłęd kompromitacji. Jedni wygadują na innych najgorsze rzeczy. Dowód prawdy nie jest wymagany, bo rzetelność bierze się za małoskowność. Kto nie chce nikogo ośmieszać, opluwać, zniesławiać, mieszać z błotem, oskarżać, demaskować, natychmiast wypada z gry, gdyż nie nadąża za stadną nikczemnością. W ten sposób kompromitacja zastępuje dialog, kulturę polityczną, spór racji, dyskusję. Coraz częściej przyjmuje formę napastliwego monologu, po którego wygłoszeniu obrażające się strony odchodzą wygrażając sobie pięściami. Bzik kompromitacji utrudnia porozumienie a nawet je niweczy. Podsyty nerwowymi emocjami, uzurpując sobie monopol na posiadanie racji, częściej składa się ku inwektywie niż spokojnemu namysłowi i logice, co sprawia, że rozsadek czuje się wygnanym.

W ciągu ostatnich trzech lat powstało coś w rodzaju poetyki kompromitacji, którą bez żenady posługuje się dzisiaj zarówno profesor uniwersytetu, intelek-

tualista z opozycji, literat, jak dawny ubek, czy prymitywny poseł bez kinder-sztuby z dwudziestoosobowej partii, kompromitacja bowiem jako metoda polemiki i walki nie zna w dzisiejszej Polsce ograniczeń socjalnych i środowiskowych. Szczek kompromitacji rozlega się w parlamencie, dyskusji politycznej, publicznym oświadczeniu czy polemice literackiej. Kompromitacja jako metoda dyskredytowania innych, posługuje się (co za dziwna zgodność!) elita intelektualna i ludzie z marginesu. Ten wrzask w jednym chórze, gdzie odnajdziesz demokratę i zamordystę, człowieka wierzącego i ateistę, musi porażać. Uciekający się do kompromitowania przeciwników wymyślonych czy rzeczywistych krzywd, przechodzi obok argumentów, bo kompromitując kogoś nie chodzi o wykazanie, że nie ma on racji, ale o naruszenie, możliwie bolesne, jego godności. Dlatego Polska stała się krajem, gdzie każdy stara się wylać na każdego zawartość szamba. Nic dziwnego, iż polskie życie publiczne przypomina najbardziej uciążliwy oddział w zakładzie psychiatrycznym.

Metoda kompromitacji czuje się bezkarna np. w życiu politycznym (ona spowodowała „wojnę na górze”), na łamach gazet, nawet tych najbardziej odnowicielskich (istnieje tytuł, w którym poetyka kompromitacji stanowi jedyną formę informowania), ba, zakrada

się coraz częściej do literatury i sztuki, o czym świadczą tzw. teksty polemiczne w szacownym miesięczniku warszawskim, który do niedawna kojarzono z podstarzałą damą, ale jednak damą, dbającą o pozory elegancji. Zasada kompromitacji w komunikowaniu się pomiędzy ludźmi bardzo pogrubia obyczaje, ponieważ towarzyszy jej niezbyt wybredna stylistyka, pogardliwy grymas i knajackie słownictwo, zaś w polityce niweczy kompromis, bez którego nie może istnieć demokracja. Ofiarą kompromitacji padają w pierwszej kolejności autorytety; właśnie jesteśmy świadkami jak bzik kompromitacji obraca w gruzy wszystkie bez wyjątku autorytety: po „Solidarności” i państwie, przyszła pora na katolicyzm. Tym samym kompromitacja przyczynia się do wytwarzania pustki aksjologicznej w różnych dziedzinach życia. Na powstałym w ten sposób ugorze może wyrosnąć każdy chwast.

Sądzę, że w przyszłości powstanie na ten temat sporo błyskotliwych prac socjologicznych, bo bzik kompromitacji, któremu oddają zgodny hołd ludzie mądrzy i głupi, zwolennicy totalitaryzmu i zapaleni demokraci, jest recydywą komunizmu.

W pierwszych latach instalowania „przodującego ustroju” komuniści z dużym przywiązaniem posługiwali się metodą kompromitacji; chodzilo o zniszczenie autorytetów, co, jak wiadomo, nie powiodło się do końca, ale spustoszenia zostały.

Wystarczy przywołać poetykę pisania o II Rzeczypospolitej i o AK w czasach stalinowskich lub artykuły w „Kuźnicy” z końca lat czterdziestych, dające odpór rozsądkowi i gotowe przepisy, jak z książki kucharskiej (weź bohatera pozytywnego, najlepiej robotnika, dodaj do tego wroga ludu i walkę o plan 6-letni) na napisanie postępowego arcydzieła. Przy okazji poniewierano tradycjami, faktami historycznymi, dobrym wychowaniem i zwykłą przyzwoitością, która zdawała się przeszkadzać nadchodzącemu barbarzyństwu. Szybko zgodzono się na jego triumf. Prawda i etyka były kompromitowane jako burżuazyjne fanaberie odchodzącej epoki.

Dzisiaj, paradoksalnie, podobny ton nadąsanego czekisty, w każdej sytuacji wiedzącego lepiej i słuszniej, odnajduje nie bez zadumy w gazetce, pełnej demokratycznych sloganów, kierowanej przez byłego opozycjonistę. Niech nas nie wprowadza w błąd nieco odmienne słownictwo. Pozostaje ten sam zapożyczony od komunizmu sposób rozstawiania po kątach ludzi, wartości, opinii i instytucji. Być może jest to kolejny dowód sowietyzacji mózgów. Stosowany przez redaktora bzik kompromitacji, bezbłędnie zdradza, w którym miejscu stała jego kołyska. Nawiasem mówiąc, jeszcze niedawno prasa komunistyczna metodą kompromitacji usiłowała zdyskredytować owego redaktora-opozycjonistę, obecnie on sam posługuje się tym samym sposobem, co może stanowić przewrotny dowód, że pomiędzy policjantem a dysydem, pomiędzy ściganym a ścigającym zachodzi o wiele silniejszych związków niż tylko odwrócenie sytuacji. Kruchą polską demokrację zniszcza nie „cioty rewolucji”, lecz pokątne wnuki Stalina z kręgów dawnej opozycji, bezwiednie dziedziczące najgorsze i wstydliwie skrywane rodzinne tradycje: przyzwyczajenia i narowy totalitarne, do których należy zaliczyć metodę kompromitacji.

Co nowego w prasie?

Gdyby, w Krakowie była ulica Bertolta Brechta, to czy ta nazwa dziś by się utrzymała? A gdyby ktoś przeciw niej zaprotestował — czy znalazłby się taki, co broniłby Brechta?

Tak Jerzy Koenig zagaił rozmowę o Brechcie; odbyła się ona jesienią 1991 w Teatrze im. J. Słowackiego w Krakowie, a uczestniczyli w niej ponadto: Jerzy Goliński, Jan Kott i Tadeusz Nyczek. Dyskusję tę drukuje ostatni, 7 nr DIALOGU uzupełniając ją drugą obszerną rozmową, jaką na ten sam temat prowadzili w lutym 1992 Ireneusz Krzemiński i Krzysztof Wolicki. Twórczość Brechta była zapewne najciekawszym zjawiskiem w kulturalnym dorobku komunizmu. Spektakle jego sztuk w jałowych latach stalinowskich urastały do rangi wydarzeń. Brechta przypisywali sobie zarówno ortodoksyjni komuniści, jak rewizjoniści, a jednocześnie jedni i drudzy mieli do niego liczne zastrzeżenia. Brecht był „osobny”, nie poddawał się jednoznacznej klasyfikacji. W tej

kwestii zgadzali się wszyscy dyskutanci, traktujący zresztą bez przesadnego pietyzmu autora „Matki Courage” — nawiasem mówiąc może to zdziwić niejednego z tych, co pamiętają jeszcze spektakle „Dobrego człowieka z Seczuanu” z niezapomnianą rolą Haliny Mikołajskiej, czy „Żywota Galileusza”. Lecz mimo krytycznych uwag o uproszczonej, Brechtowskiej filozofii, o białoczar-nym podziale na biednych i bogatych, uczestnicy dyskusji krakowskiej wskazywali w końcu na to, co z Brechta pozostaje w teatrze: więc cała właściwie polska scenografia wzięła się z Brechta; o wielkości Brechta świadczyć może na przykład Swinarski, który odrzucił z Brechta całą doktrynę, całą ideologię. Zostawił natomiast całą pasję życia i pasję sztuki (...) Był uczniem Brechta, był też bardzo bliskim mu człowiekiem. W ostatnich latach pojawiło się parę interesujących przedstawień „Opery za trzy grosze”. I wreszcie stwierdzenie Jana Kotta: Brecht jest przecież wszędzie znany na świecie i wydaje

się, że nieprędko przestanie być grany, że nieprędko to coś, co w nim tkwi, przestanie być dla ludzi ważne.

Natomiast Krzemiński z Wolickim mniej zajmują się teatrem Brechta, głównie zaś — psychologicznymi oraz ideowymi korzeniami jego twórczości. Ireneusz Krzemiński: *Ten fałszywy ton u Brechta to nic innego, jak nienawiść do lepszych. I ta nieustanna chęć, by wykazać, że wcale tak naprawdę nie są lepsi (...) Jest to po prostu jeden z wymiarów duchowych marksizmu, a nawet całej orientacji lewicowej. Udowodnić, że to, co jawi się jako lepsze, cenniejsze, bardziej wartościowe — że to też ma swoją świńską stronę. Wolicki: ...Cała twórczość Brechta poświęcona jest kolejnym próbom konstruowania solidarności w pustynnym świecie (...) W tym złowrogim świecie trzeba się umieć skurczyć, skulić. Ale ten skulony człowiek nadal próbuje szukać kontaktu z innym skulonym człowiekiem. Ta próba kończy się fiaskiem. (...) Ale w najlepszym okresie swego dramatopisarstwa, w epoce „Dobrego człowieka z Seczuanu” i „Życia Galileusza” znowu wraca problem solidarności między ludźmi (...) pozostaje dążenie do solidarności. Zawsze nieudane, zawsze kalekie. Ale nieusuwalne. Czy nie warto z tego punktu widzenia spojrzeć na nasz wiek XX z jego liberalnym zakończeniem? Czy udało się nam nasze dążenie do solidarności? Czy nie przyznaje racji Brechtowi końcówka naszego stulecia?*

J.L.

VARIA

NOWY NUMER „DEUTSCH — POLNISCHE ANSICHTEN ZUR LITERATUR UND KULTUR”

Redakcja „Dekady” otrzymała kolejny numer rocznika wydawanego przez DEUTSCHES-POLEN INSTITUT W DARMSTADT i zatytułowanego „Deutsch-polnische Ansichten zur Literatur und Kultur”. Rocznik jest prezentacją naukowo-literackiego dorobku instytutu „za rok 1991”, a w każdym razie pozwala zorientować się w tematyce, kierunkach zainteresowań, inicjatywach myślowych tej zasłużonej już instytucji.

Pięknie wydany (papier, druk, okładka) tom liczy 335 stron i zawiera część eseistyczną, tłumaczenia wybranych tekstów literackich polskich pisarzy współczesnych, wreszcie część informacyjno-kronikarską, m.in. bardzo interesujący spis tłumaczeń polskich książek na język niemiecki — i niemieckich na polski — za ostatnie lata. Wśród autorów wymienimy EWE KOBYLIŃSKĄ (doskonały esej o inteligencji polskiej), KRZYSZTOFA STEPNIKA (o antygermanizmie w literaturze polskiej przed I wojną), KLAUSA PETERA WALTERA (problem tożsamości żydowskiej w oparciu o książki ANDRZEJA SZCZYPIORSKIEGO, HANNY KRALL i MARII NUROWSKIEJ. Tłumaczeni poeci i pisarze polscy, to m.in. WISŁAWA SZYMBORSKA, ADAM ZAGAJEWSKI, JULIAN STRYJKOWSKI, MAREK NOWAKOWSKI.

Wymieniam tylko niektóre nazwiska i tematy. Tom jest bogaty treściowo, tematycznie różnorodny, widać, że przygotowano go bardzo starannie. Instytutowi kierowanemu przez dr. KARŁA DEDECIUSA należą się wyrazy uznania za tę książkę stanowiącą kolejne świadectwo kulturalnego zbliżenia obu sąsiadów. (Mg)

Gdzie kupić „DEKADĘ LITERACKĄ” w Warszawie:

w kioskach przy Alejach Jerozolimskich, Nowym Świecie i Krakowskim Przedmieściu oraz w innych centralnych miejscach stolicy, a także w niektórych księgarniach: „Reprint” Krakowskie Przedmieście 77, księgarnia w Domu Literatury Krakowskie Przedmieście 87/89, Księgarnia Naukowa Krakowskie Przedmieście 7, „Editions Spotkania” Piwna 44, „Leksykon” Nowy Świat 41.

Najpewniejsza jednak w prenumeracie. Przypominamy, że prenumerata kwartalna wynosi 36 tys. zł, natomiast półroczna 72 tys. zł. Wpłaty należy dokonywać na konto: Wydawnictwo „Gazeta Krakowska” PKO I OM 35510-804334-136.



Larysa Bogoraz

ludzie powinni mieć do siebie wzajemny szacunek. Chciałam, żeby naród Czechosłowacji nie miał nas wszystkich za okupantów, żeby wiedział, że są w Rosji ludzie solidarni z nimi. Wyszło nas na plac zaledwie siedmiu, ale bardzo wielu było takich, którzy myśleli i odczuwali podobnie jak my.

● Może opowie Pani, jak to było na placu Czerwonym.

— Postanowiliśmy wyjść na plac z plakatami. Jasne było z góry, że zostaniemy aresztowani za zakłócanie porządku, ale zdecydowaliśmy, że gdyby nawet groziło nam pobicie, nie będziemy stawiać oporu. NATASZA GORBANIEWSKA zaproponowała, by wyjść na plac Czerwony o

WICZ z Łotwy, który sam, nie należąc do żadnej grupy, napisał artykuł z protestem przeciwko inwazji wojsk radzieckich w Czechosłowacji. IGOR BOGUSŁAWSKI z Leningradu, wówczas całkiem młody człowiek, napisał na słynnych mosiężnych posągach koni zdobiących most Anickowa: „Brezńew, precz z Pragi!” Złapano go i aresztowano, a potem zamknięto w więzieniu. Moja przyjaciółka, HELENA SMORGUNOWA, filolog z wykształcenia, na „wiecu poparcia” dla „bratniej pomocy Czechosłowacji” wstała i powiedziała: „Nie chcę żadnej okupacji”. Została bez pracy. Zresztą wśród moich znajomych, w kręgach inteligenckich, wszyscy tak myśleli — i każdy, kto dał temu wyraz, tak czy owak za to zapłacił. U-



Danuta Abrahamowicz

Musimy żyć i działać wspólnie

Z LARYSĄ BOGORAZ rozmawia Danuta Abrahamowicz

LARYSA BOGORAZ — znana rosyjska opozycjonistka, jedna z założycieli „grupy helsińskiej” w b. ZSRR, uczestniczka słynnej demonstracji protestu na placu Czerwonym w Moskwie przeciwko agresji radzieckiej w Czechosłowacji (sierpień 1968).

● Jak dojrzewała w Pani świadomości decyzja o publicznym wyrażeniu protestu w pamiętny dzień 21 sierpnia 1968 roku?

— Kiedy byłam młoda, nie przyszłoby mi do głowy, że będę kiedyś występować publicznie z jakimś protestem. Rosłam tak jak inne dzieci w ZSRR — byłam pionierką, potem komsomolką. Mama była członkiem partii, ojca aresztowano w 1936 r. Siedział w obozie w Workucie. Ale to mnie też niczego nie nauczyło. Dopiero później, gdy zostałam studentką, poznałam ciekawych ludzi, którzy znali literaturę lepiej ode mnie. Od nich usłyszałam nazwiska pisarzy „zakazanych”: Babla, Mandelsztama, Pasternaka, Achmatowej. A więc, gdy zaczęłam samodzielnie myśleć i czytać, wówczas zrozumiałam, że jestem obywatelką tego kraju i że nie sposób żyć tak, jak żyliśmy dotąd. Miałam duże poczucie obowiązku obywatelskiego; w moim rozumieniu ja również byłam odpowiedzialna za swój kraj i wszystko, co się w nim działo, dotyczyło także mnie. Potem aresztowano mojego pierwszego męża, JULJA DANIELA. Był pisarzem i wraz ze swym przyjacielem ANDRZEM SINIAWSKIM został aresztowany za to, co pisał.

Uważam, że nie wolno zamykać człowieka do więzienia za literaturę, tak jak nie wolno aresztować go za to, że oddycha. A skoro tak, rozumiałam, że muszę przeciwko temu protestować. Miałam już wówczas syna i myślałam, że jeżeli nie będę protestować, to mój syn będzie miał takie same problemy, jakie miałam ja. Musiałam więc zrobić coś dla niego, dla jego przyszłości. Nie ludziłam się, że moje wystąpienia cokolwiek zmienią, ale nie byłam osamotniona, wokół mnie byli ludzie myślący podobnie. Wtedy to zaczęła się fala publicznych protestów.

Protestowaliśmy początkowo przeciwko niesprawiedliwym aresztowaniom w naszym kraju. Pisaliśmy protesty i wysyłaliśmy je do rządu. A potem, kiedy radzieckie czołgi wkroczyły do Czechosłowacji, przypominały mi się od razu czołgi hitlerowskie na ulicach Pragi. Nienawidziłam faszyzmu, zawsze był dla mnie uosobieniem straszliwego zła. Pomyślałam więc: to moja wina, że czołgi radzieckie znalazły się w Pradze, ja jestem winna. Nie mogę milczeć. I co mam zrobić? Napisać protest — to za mało, to wydarzenie na większą skalę niż aresztowanie jednego człowieka. Wtedy postanowiliśmy wyjść na plac, żeby ludzie nas usłyszeli i zobaczyli. Wiedzieliśmy, że nasze wystąpienie sytuacji nie zmieni, ale wystarczy nam świadomość, że w Czechosłowacji będzie wiadomo o naszym proteście. Być może zmieni to stosunek Czechów i Słowaków do Rosjan. Dla mnie było to ogromnie ważne, ponieważ jestem przekonana, że

dwunastej w południe. Nie wiedzieliśmy o wszystkich szczegółach wydarzeń w Czechosłowacji. Byłam przedtem u Nataszy Gorbaniewskiej w domu i udało się nam złapać w radio tajną rozgłosnię. Kobięcie głos mówił: „Bracia Rosjanie, wracajcie do domu! Nie prosiliśmy was tutaj!” Czułam, że ta kobieta mówi wprost do mnie... Widziałam też, jak przywieziono do Moskwy Ludwika Swobodę. Było to tragiczne widowisko: Swoboda jechał otwartą limuzyną, wyglądało na to, że Moskwa wita go uroczysto i radośnie. Wokół stali ludzie wymachujący czeskimi chorągiewkami, ale widać było, że są obojętni i nieświadomi tego, co się dzieje. A Swoboda miał twarz jak tragiczna maska. Tak chciałam wówczas, żeby mógł dowiedzieć się o tym, że są tu ludzie, którzy wiedzą o wszystkim i są przeciwni okupacji...

A więc wyszliśmy na plac dokładnie o dwunastej, właśnie bil zegar na wieży. Poszliśmy pod historyczne miejsce straceń, usiedliśmy na bruku i podnieśli nasze plakaty. Natychmiast otoczyli nas agenci. Zebrał się tłum, ale mało w nim było zwyczajnych ludzi, w większości agenci KGB. W parę minut później wyrwano nam z rąk plakaty, zaczęto bić i wypychać do samochodów. Jeden z uczestników naszej demonstracji, WIKTOR FAJNBURG, stał za mną i Nataszą Gorbaniewską. Poczuliśmy w pewnym momencie, że mam mokłą bluzkę na plecach. Dotknęłam ręką: krew. Wiktor miał wybite zęby — to jego krew kapłała na mnie. Nawiasem mówiąc, nie pozwolono mu stanąć przed sądem, żeby nie było dowodów na to, jak dotkliwie zostaliśmy pobici. Po prostu od razu skierowano go na ekspertyzę psychiatryczną i umieszczono w szpitalu dla psychicznie chorych.

Samochody dostarczyły nas do milicji. Tam spędziliśmy całą resztę dnia. Natasza Gorbaniewska miała ze sobą dziecko w wózku — i to dziecko było z nami na komendzie do wieczora. Wieczorem każdego z nas pojedynczo odwieziono do domu, zrobiono wszystkim rewizję i prosto z domu odwieziono do więzienia. Znaleźliśmy się w więzieniu wszyscy z wyjątkiem Nataszy Gorbaniewskiej, która trafiła do szpitala psychiatrycznego.

Tak przebiegały wydarzenia tamtego dnia. Wiem, że nie tylko my wystąpiliśmy przeciwko inwazji w Czechosłowacji. ANATOLIJ MARCZENKO, mój późniejszy drugi mąż, napisał duży artykuł. Pamiętam, jak rozmawiałam niedługo przed okupacją z pewnym młodym człowiekiem, fizykiem z Czechosłowacji, który studiował w Moskwie. Powiedziała mu: „Myślę, że do okupacji nie dojdzie, ponieważ okupacja oznaczałaby koniec ruchu komunistycznego na całym świecie”. A on na to odparł: „W takim razie niech już dojdzie do tej okupacji”. I rzeczywiście, od tego momentu zaczął się upadek komunizmu.

● Wśród opozycjonistów, przyjaciół Pani i Pani męża, było zapewne wielu wspaniałych ludzi?

— Tak, wielu z nich zasługuje na miano wspaniałych. Choćby IWAN JACHIMO-

czewość wobec siebie wymagała mówienia prawdy. Uważano, że jeżeli nawet płaci się za to więzieniem czy zesłaniem, to jednak lepiej zapłacić niż przez całe życie trzymać usta zamknięte na kłódkę.

● A potem włączyła się Pani w główny nurt rosyjskiej opozycji...

— Tak, ale najpierw spędziłam dłuższy czas na zesłaniu, odcięta od świata i od przyjaciół. Mieszkaliśmy na Syberii, bez prawa opuszczania miejsca pobytu. Ale zawsze było to zesłanie, nie więzienie, jakby łagodniejszy wymiar kary. Pracowałam w tartaku jako tragarz, dzwigałam i przenosiłam ciężary. Tak minęły 4 lata. Mimo wszystko dobrze wspominam ten okres; był tam świetny klimat, bardzo zdrowy. Ludzie w tym małym miasteczku nie mogli zrozumieć, o co mi chodzi i za co tu siedzę, wiedzieli tylko, że jestem „polityczna”. Powtarzali mi często: „U nas prawdy nie szukaj, nie znajdziesz prawdy”. Nie mieli pojęcia, jakiej prawdy szukałam, ale było dla nich jasne, że tej prawdy nie da się znaleźć.

● Po powrocie do Moskwy znów zaczęło się dla Pani niełatwe życie...

— Mój drugi mąż, ANATOLIJ MARCZENKO, kontynuował swoją pracę: napisał jeszcze jedną świetną książkę, która ukazała się potem w Czechosłowacji nakładem niezależnej oficyny wydawniczej. Książka miała tytuł: *Żyć tak jak wszyscy*. Wezwano go do KGB i oznajmiono: „Marczenko, nie podoba się wam w naszym kraju? Cóż, nikt was tu nie trzyma, możecie wyjechać”. Odpowiedział na to: „Skądże, wszystko mi się tu podoba z wyjątkiem was. Wy możecie wyjechać, a ja zostaję”. Aresztowano go i skazano na bardzo długi pobyt w więzieniu — na 10 lat. W więzieniu nie zmienił się wcale, został taki jaki był. Złożył oświadczenie, że żąda uwolnienia wszystkich więźniów politycznych, i rozpoczął strajk głodowy. W trakcie strajku zmarł. Było to w 1986 r., w czwartym roku więzienia.

● Jak dowiedziała się Pani o tej głodówce?

— Mąż zawiadomił mnie na pół roku przed podjęciem głodówki, że zaczyna swój protest 4 sierpnia. W ostatnim liście, we wrześniu 1986, napisał: *Nie martw się, wszystko w porządku*. A potem otrzymałam telegram od naczelnika więzienia. Anatolij zmarł 9 grudnia 1986.

Nazajutrz po jego śmierci SACHAROW został zwolniony z przymusowego pobytu na zesłaniu. A w miesiąc później zaczęło zwalniać więźniów politycznych. Gdyby Anatolij wytrzymał jeszcze 6 tygodni, byłby wolny tak jak inni. Czasy zaczęły się zmieniać. Oczywiście, to wielka tragedia. Myślę, że gdyby pozostał przy życiu, byłby zafascynowany tym wszystkim, co się dzieje teraz w kraju.

● Pani natomiast doczekała się wielkich przemian demokratycznych...

— Nie spodziewałam się, że nastąpią tak szybko. Myślałam, że musi minąć ze trzysta lat, by w naszym kraju cokolwiek mogło się zmienić. Wydawało mi się, że najpierw powinni zmienić się ludzie, a potem już ustrój i kraj. Tymczasem przemiany nadeszły niespodziewanie. Niemniej nadal sądzę, że musi upłynąć ze trzysta lat, by zmiany te mogły się uwolnić i doprowadzić do czegoś dobrego. Na razie życie jest zbyt trudne, demokracja nie ma żadnych tradycji, sami demokraci nie mają doświadczenia i dlatego chyba są często zbyt radykalni.

Odkąd zaczęły się te przemiany, często rozmyślałam nad tym, gdzie jest moje prawdziwe miejsce w tej nowej sytuacji? Co powinnam robić? Przeczytałam kilka prac rosyjskich filozofów początku XX w., m.in. artykuł Kistiakowskiego, który mówi, że w Rosji nie ma i nigdy nie było tradycji prawa, a więc naród rosyjski jest pozbawiony świadomości własnych uprawnień. Tymczasem państwo praworządne to taki ustrój, w którym każdy człowiek jest wychowany w poszanowaniu prawa, i prawo broni człowieka. Pomyślałam: to jest sprawa, którą chciałabym się zająć. Dlatego przystąpiłam do „grupy helsińskiej”; jednym z głównych jej zadań jest propaganda prawa. Opracowałam program seminarium dla ludzi pragnących zająć się obroną praw człowieka. W moim rozumieniu powinno to być właśnie seminarium — nie cykl wykładów, tylko cykl aktywnych zajęć, na których ludzie mogą sami wypowiadać swoje zdanie. Zapraszamy na takie zajęcia czynnych obrońców praw człowieka, weteranów tego ruchu w naszym kraju, a także prawników i gości z zagranicy. Na razie uczestników nie musi być dużo, ale ich doświadczenie będzie się stopniowo szerzyło. Wówczas zmienić się musi świadomość człowieka: państwo praworządne siłą faktu stanie się państwem demokratycznym. W nowym społeczeństwie każdy człowiek powinien wiedzieć, czym jest ludzka godność, obywatelski obowiązek.

To, co dzieje się teraz w Waszym kraju, jest według mnie ogromnie ważne. Wiem i czuję sercem, że narody słowiańskie są połączone ze sobą więzami braterstwa. Narodowość, przynależność etniczna jest mniej istotna niż wspólna słowiańska kultura. Musimy żyć i działać wspólnie. Myślę, że od tego zaczyna się nowe, demokratyczne społeczeństwo — od więzi międzyludzkich, od więzi między narodami. Musimy poznać się bliżej, zwłaszcza nasza młodzież. Młodzi muszą być inni niż my. Chciałabym, aby mój młodszy syn wkroczył od razu w to nowe życie — i wierzę, że tak właśnie będzie.

Przekład i opracowanie tekstu
ALLA SARACHANOWA

SCHULZ: spojrzenie w przyszłość

(ciąg dalszy ze str. 1)

Twórczość Schulza jest więc czymś w rodzaju wielkiej „tablicy Mendelejewa”, oferującej wizję świata holistyczną i zorganizowaną wewnątrznie — niezależnie od tego, czy znamy wszystkie składające się na nią elementy.

oferuje też obserwatorowi dokładnie zarysowaną mapę „białych plam”, które należałoby wypełnić. Stąd pewnie do kanonu znanych tekstów Schulza można by zarówno dokładać teksty nowe, jak i je od niego odejmować: rysunek całościowej wizji świata pozostanie dość odporny na tego typu operacje, wspiera się on bowiem nie tyle na (wątkach) zdarzeniach fabularnych, ile na wspólnocie mitycznego czasu i przestrzeni, koncepcji człowieczeństwa, demurgii, wspólnocie związków pomiędzy materią a duchem, kobiecością a męskością, chaosem a porządkiem etc., czyli na pewnych generalnych założeniach dotyczących natury Bytu.

Póświęćmy teraz nieco miejsca poszczególnym poziomom, na których literacki obraz świata u Schulza wykazuje dążenie do zamkniętej całości. Będzie to, jak się rzekło, czasoprzestrzeń budowana przez opowieści, czasoprzestrzeń rozłamana na dwie połowy: tę oświetloną promieniami słońca, uporządkowaną poddaną cyklicznej konstrukcji lub zawsze jednakiej, rozpoznawalnej topografii — i tę tonącą w mroku nocy, oniryczną, rozgałęziającą się w sposób nie kontrolowany, labiryntową. Wbrew pozorom obydwie stoją po stronie ładu, dopełniają bowiem, przeglądając się w sobie wzajem, pewną całościową wizję, która musi mieć swój awers i rewers, gdyż jej zasada jest dualistyczna. Dualizm jest w ogóle jedną z najważniejszych cech Schulzowskiego świata: kobiecość drażni w nim męskość, męskość uwodzi kobiecość, duch urobic pragnie i ukształtować materię na swe podobieństwo — materia znów ściga go w swe niskie regiony, w których łatwo zatracić się, zapomnieć o swym wysokim posłannictwie. Zwraca uwagę zamknięty, wsobny charakter tych dychotomii, z których nie ma ucieczki — to znaczy, że nie da się ich ani rozwinąć, wzbogacić o nowe elementy, ani zredukować.

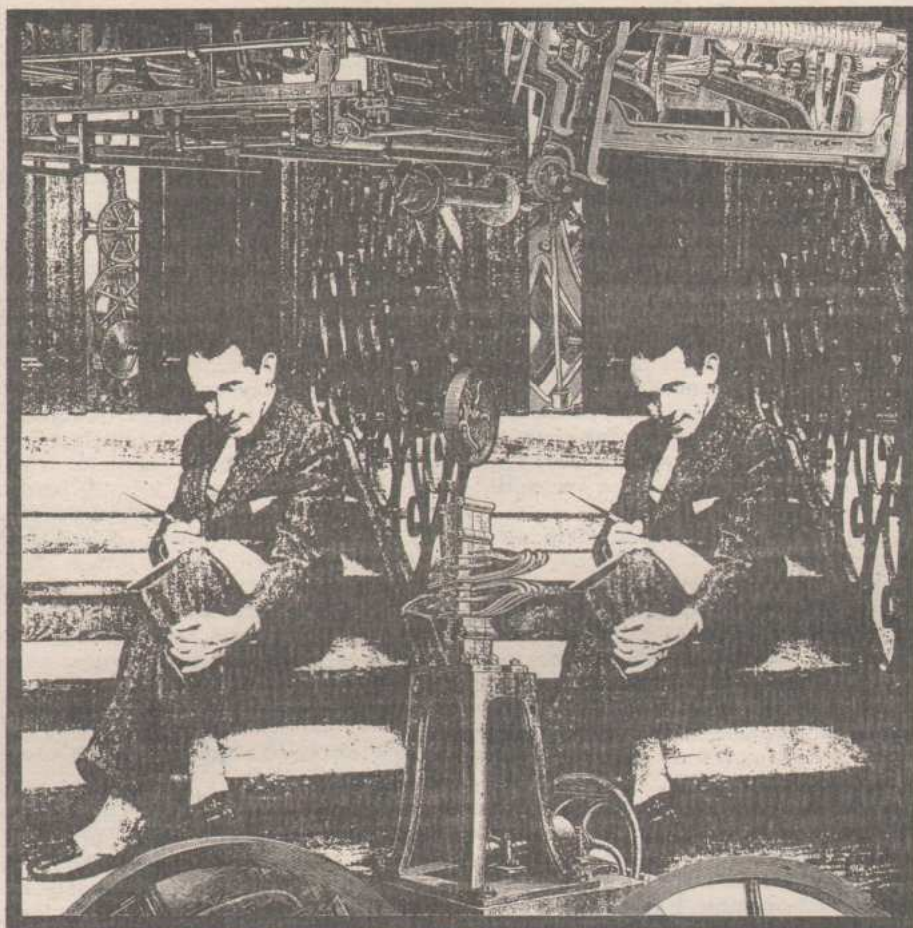
Cały w ogóle świat tych opowiadań — przy ogromnym zmysłowym bogactwie poszczególnych wizji — zdaje się łatwo sprowadzić do pewnych formuł elementarnych.

Podobni są mężczyźni — rozdarci między swe zawodowe, twórcze posłannictwo i grzeszną, fizyczne namietności (pan Karol, kuzyn Emil, subieci, także sam Ojciec); kobiety znów albo hordują potulnie swą „wegetatywną” cielesność, albo stają się wampami, wodzami za sobą otumanionych wielbicieli (Adela, Biana, panienki sklepowe z *Ulicy Krokodyli* itd.). Podobieństwo łączy również pewne powtarzalne sytuacje: bohater jako dziecko zapuszcza się w różne tajne zakamarki (*Nawiedzenie, Pan, Sklepy cyrkonowe, Ulica Krokodyli, Wiosna, Noc lipcowa*), żywioły atakują lub przenikają rodzinny dom (*Sierpień, Wichura, Noc lipcowa, Emeryt, Martwy sezon*), bohater podgląda Ojca w trakcie jego oryginalnych czynności i eksperymentów (*Nawiedzenie, Ptaki, Manekiny, Sklepy cyrkonowe, Karakony, Noc wielkiego sezonu, Mój ojciec wstępuje do strażaków, Martwy sezon, Sanatorium Pod Klepsydrą, Ostatnia ucieczka ojca*), innym znów razem szuka odpowiedzi na dręczące go problemy płci (*Sierpień, Sklepy cyrkonowe, Ulica Krokodyli, Księga, Wiosna*).

Wymieniam tu tylko te spośród głównych motywów, które nawiązują do jakichś archetypowych sytuacji organizujących ludzkie życie i wyobraźnię. Jednym z takich archetypowych motywów jest u Schulza oczywiście motyw Księgi korespondujący blisko z motywem sprawczego Słowa, o którym była mowa w *Mityzacji rzeczywistości*.

Właśnie na poziomie języka najlepiej obserwować możemy drogę do pierwotnego nieodróżnicowania, jedności świata do niezwyklego bogactwa słownika i poetyckich tropów, jakimi raczy nas Schulz w swoich opowieściach.

Wizja całościowa, którą zarysowaliśmy wyżej nie byłaby może tak oryginalna, gdyby w świadomości Schulza nie zderzała się lub przynajmniej nie koegzystowała z wizją świata rozbitego, zdeintegrowanego, pozbawionego jednolitych sensów, którą zawdzięczamy naukom ścisłym i która na Schulza z pewnością wywarła istotny wpływ. Można oczywiście mniemać, że wiedza o współczesnej fizyce i kosmogonii oraz scalająca wizja mitologiczno-literacka bytują u Schulza na odmiennych płaszczyznach świadomości, nie kontaktując się ze sobą. Jestem innego zdania: sądzę, iż



Collage ALEKSANDER PIENIEK

autor *Sklepów cyrkonowych* ani na chwilę nie tracił z oczu dramatycznego rozziwu, jaki zachodził pomiędzy tymi dwoma obrazami rzeczywistości, więcej — że w swych działaniach twórczych, pozornie tylko na literacki efekt obliczonych, przypominał żywo pewnych dwudziestowiecznych myślicieli i uczonych, których równie mocno dotykało poczucie dezintegracji świata i nieprzystawalności obiektywizującego światopoglądu nauki wobec indywidualnego, osobistego przeżycia zagadki Bytu.

Wyznaczyć Schulzowi precyzyjnie miejsce w tej tradycji myślenia o świecie i człowieku niełatwo, bo jego pisarstwo cechuje daleko idący eklektyzm.

Można powiedzieć tylko, że jako twórca wpisuje się w bardzo szeroko rozumianą tradycję gnostyczną, choć zarazem stale podważa obowiązujące na jej terenie zasady. Równie dobrze szukać mu można ideowych antenatów na terenie tradycyjnej filozofii żydowskiej (Słowo Logos mogłoby być może z Filona aleksandryjskiego, dualizm materii i formy (ducha) od późnośredniowiecznych arystotelików, elementy magiczne i mistyczne z Kabały, potępienie materii — z tradycji neoplaton-

skiej. W istocie wątki judaistyczne od czasów hellenistycznych przenikają się z gnozą wczesnochrześcijańską, na nie nakładają się wpływy religijno-mistycznych systemów orientalnych, szczególnie perskich, nie sądzę zatem, aby się dało poszczególnie motywy gnostyczne u Schulza zidentyfikować dokładnie i określić bez najmniejszych wątpliwości ich pochodzenie — zwłaszcza że korzystał też z wątków klasycznej mitologii greckiej i rzymskiej, a w dziedzinie literatury fascynował się Goethem czy romantykami, którzy ideom gnostycznym nadali nową postać. Nie chodzi mi zatem o rozpoznanie źródeł inspiracji, ale o określenie stylu myślenia.

Cóż w owym stylu myślenia najsilniej uderza? Chyba silna wiara w decydującą w dziedzinie poznania wartość doświadczenia wewnętrznego, w istotność owych „obrazów o rozstrzygającym dla nas znaczeniu”, pojawiających się w dzieciństwie, a które następnie staramy się przez całe życie interpretować. W opowiadaniach Schulza nie pojawia się w ogóle świat nie związany najściślej z poznającym podmiotem; wszystko, z czym obcuje, istnieje ze względu na osobę — wyraźnie z autorem utożsamia-

rozważanie o ogólnych prawidłach demurgii, co kunsztowna oracja, którą — niby barwnym wiechem napuszonych piór — stary kogut pragnie olśnić młodziutkie samczki.

Łatwo już chyba rozpoznać styl myślenia scharakteryzowany powyżej. Nie tracąc związków z filozoficzną czy mistyczną tradycją, pozostaje on zdumiewająco nowoczesny i współbrzmie lepiej bodające z pismami i wypowiedziami uczonych czy mistyków młodszych od Schulza o pokolenie, choć — rzecz jasna — źródła owego stylu leżą głębiej w czasie. Gdzie leżą dokładnie — trudno orzec z pełną precyzją, bo — jak się rzekło — tradycja ich sięga w starożytność; w przypadku Schulza można chyba jednak mówić o decydującym wpływie teorii nieco bliższych naszej epoce, takich jak ów nieortodoksyjny i leżący poniekąd na obrzeżach oficjalnej nauki nurt myślenia, który reprezentował np. Goethe, a w dwudziestym wieku Jung (obydwu Schulz z pewnością uważnie studiował). Ale — w swych poglądach na naturę psychiki i rolę nawastrzeń kulturowych bliski Jungowi — Schulz dzieli z nim także, jak sądzę, postawę wobec świata odmienną od tej, której hołdowali gnostycy starożytni i średniowieczni. Jak powiada Jerzy Prokopiuk:

„Zasadnicza różnica między gnostycyzmem a jungizmem to różnica w postawie obu tych systemów wobec świata, natury i materii. Akosmizmowi pierwszego z nich przeciwstawia się „miłość do Ziemi” drugiego”.

Pracę nad scaleniem obrazu świata i człowieka, a przez to nadawaniem mu uniwersalnego, holistycznego sensu podjęła w dwudziestym wieku cała plejada myślicieli działających bądź to na terenie oficjalnej nauki, bądź na jej — dość szerokich — marginesach, bądź też zupełnie poza jej obrębem: na obszarze antropologii i teozofii lub mistyki. Nie sposób wyliczyć tu wszystkich nazwisk. Do najważniejszych należą David Bohm, Friedrich von Weizsäcker, Arthur Koestler, Fritz Capra, Ludwig von Bertalanffy, Fred Hoyle, Abraham H. Maslow, Theodore Roszak, przedstawiciele amerykańskiej „antypsychologii”, „gnostycy z Princeton” (niezależnie od tego, na ile poglądy ich zmistyfikował Raymond Ruyer), wreszcie mistycy tacy jak Krishnamurti, Bede Griffiths czy Lama Anagarika Govinda. Ocenie ten ruch jako całość niezmierznie trudno, bowiem miesza się w nim rzetelna nauka, olśniewające czasami koncepcje z twierdzeniami całkowicie apodyktycznymi i niesprawdzalnymi, a zdyscyplinowany, fachowy język zderza się z poetyckim opisem doświadczeń wewnętrznych. Uczynom tradycyjnym współcześni gnostycy i „holiści” zarzucają coś, co Ortega y Gasset nazywał „barbarzyństwem specjalizacji” — ich samych, gdy zechcą rozprawić o Wszystkim, łatwo pomówić o zwykłej ignorancji.

To jednak, co szkodzi uczonemu, nie musi być złe dla pisarza, który na dodatek swe wizje opatrzyć cudzysłowem „panirowni”. Schulza myślenie na terenie literatury wpisuje się równie dobrze w to, co Jean Gebser nazywa „integralną świadomością”, jak w „paradygmat wyobraźni” Prokopiuka.

I oto okazuje się ni stąd, ni zowąd, że drohobycki piewca odchodzącego świata tradycji staje się w swoim sposobie myślenia bliski koncepcjom sięgającym w zamyśle autorów w wiek XXI.

A przecież nie jest on po prostu jeszcze jednym wyznawcą nowej gnozy: właśnie wyznawczego charakteru brak jego pomysłom na temat człowieka i rzeczywistości. Zbyt wiele w nich dystansu, intencji prześmiewczej, „języka po błazeńsku wystawionego”. Schulz nie nosi w sobie ani namaszczenia właściwego Nauczycielom czy Mistrzom, ani gorączkowej aktywności i misjonarskiego ducha, czym popisują się zazwyczaj neofici. Jego stosunek do świata jest ambiwalentny: z jednej strony przyznaje się bez żenady do grzesznej namietności, jaką budzi w nim „lubieżnie podatna, po kobiecemu plastyczna” materia, z drugiej — wielbi po gnostycku Ducha, formotwórczą Ideę i wieczysty Porządek. Na tej ambiwalencji wspiera się literacka gra masek, kontredans form, ról i języków.

(ciąg dalszy na str. 6)



konkretne mogą być prawdziwymi zaklęciami. Te wzbudzały tęsknotę i miłość (bo jak to inaczej nazwać) do rzeczywistej Szwecji, a jednocześnie miały swoje tajemne znaczenia, które miało zostać ujawnione w nieokreślonej przyszłości, w otwierającym się życiu.

WĘDROWNICY I OSIADLI. Cała książka jest o wędrowce chłopca z dzikimi gęśmi. Lecą ze Skanii na północ, lecz nie prosto, przemierzają kraj w różnych kierunkach. Tam dokąd gęsi nie dolatują Nils wskutek różnych przypadków dociera na grzbiecie orła lub kruka. Jesienią stado powraca na południe, w Skanii kończy się inicjacja Nilsa, gęsi zaś lecą dalej, na drugą stronę Bałtyku. Cały czas wołają do osiadłych, przekomarzają się z osiadłymi, pouczają ich i od nich się uczą; są w ciągłym z nimi dialogu.

Widzą przy tym świat z góry, jak załudnioną mapę. Od początku wyobrażałem sobie tę książkę jak wielką mapę plastyczną, podobną do tej, którą przynosił na

W połączeniu z reformą rolną stanowiło to gwałtowny i spektakularny kres. Nie wiem czy czytałem potem *Cudowną podróż* w całości. Pewnie tak. Lecz poczucie ważności porządku, jaki w niej był zawarty, miałem już wtedy, przy pierwszej lekturze.

SPOŁECZENSTWO. Jest to książka o osiadłych: wieśniakach (Nils był synem chłopca ze Skanii), górnikach, hutnikach, pasterzach, rybakach, studentach uniwersytetu w Uppsali i mieszkańcach starych dworów wiejskich. Jest to książka demokratyczna. Bohaterami są tu chłopcy i ludzie biedni lecz dzielni, nie oglądani z pozycji ludzi bogatych, należących do warstw wyższych. Podobne to jest więc do historii *O krasnoludkach i o sierotce Marysi*, zupełnie zaś inne niż w *Guciu z czarowanym*, którego — z czego się raczej cieszę — przeczytałem dopiero niedawno.

Lagerlöf pisze o obyczajach tych ludzi, o ich miejscach świętych, o obyczajach i podaniach. Kultura ta jest

prawdziwych wilków, dzikich, pojmanych, niespokojnie wędrujących. W *Cudownej podróży* i innych podobnych jej utworach (np. u DYNOWSKIEJ, CURWOODA, BIENIASZA) są zwierzęta przezuwane. W tych książkach nasza cywilizacja czyni wysiłek, by zerwać z właściwym sobie przeświadczeniem, że człowiek jest panem stworzenia, że pomiędzy nim a zwierzęciem jest przepaść większa niż pomiędzy zwierzęciem a krzemykiem czy grudką gliny. Inaczej jest na Wschodzie. Należę jednak do naszej kultury i tylko w jej kręgu mogę dostępować rzeczywistych inicjacji.

Przezuwane zwierzęta budzą niepokój, jeden z tych niepokojów, który się nie kończy, wchodzi w sny i domaga się, by ujawnić go w poezji.

OBRAZ. Geograficzno-kulturowy świat, jaki wyniosłem z lektur mojego dzieciństwa był obrazem sprzed pierwszej — wielkiej, jak się wtedy mówiło — wojny. Odległość oceniało się podług możliwości statków parowych i kolei żelaznych, e-

Z lotu dzikiej gęsi

Jacek Łukasiewicz

Pierwszą przeczytaną przeze mnie samodzielnie książką była książka o psie. Książka prawdziwa, nie podpisy pod obrazkami. Piesek był niebieski, druk czarny. Tyle pamiętam. Zaczynała się druga wojna światowa.

Mieszkałem na wsi w dużym starym domu. Nie było radia, kina i — oczywiście — telewizji. Czytałem wieczorem przy karbidówkach i lampach naftowych. Wszystko było staroświeckie z wyjątkiem sprzętu wojennego. Wielki niemiecki reflektor, ustawiony na wzgórkach za gumnem szukał na czarnym, wygwieżdżonym niebie latających obiektów n-pla. Lekture spłatały się z zabawami, lekcjami, uszyszanymi rozmowami dorosłych; dziś trudno to rozplątać. Pomiędzy szóstym a jedenastym rokiem życia przeczytałem różne rzeczy: wiele książek dla dzieci, ale także pismo *Holz und Wald*. Las i drewno, okupacyjny „Ster”, przedwojenne „Piomycki” i „Piomyki”, poprawne roczniki jakiegoś tygodnika dziecięcego sprzed tamtej wielkiej wojny, książkę kucharską Monatowej i inne druki. Oczywiście, przez owe pięć lat zmieniłem się bardzo, ale czas wojny stanowi w moich wspomnieniach jedną całość. Niektóre książki, które wtedy bardzo mi się podobały, przeczytane po latach okazały się puste, inne zachowały urok i ujawniły mądrość. Należą do nich *Chłopcy z Placu Broni*; tam sprawa honoru w zabawach chłopięcych została połączona jako równie poważna ze śmiercią małego Nemeczka. Dorosły autor mówił, że między jego światem i jego moralnością a światem dziecka i moralnością dziecka nie ma zasadniczej przegrody. Najlepiej z ówczesnych lektur będzie wybrać jedną książkę i pójść jej tropem, by nie zgubić się wśród przypadkowych wspominków.

W dniu pierwszej komunii dostałem od starszego kuzyna, który przyjechał z Krakowa, *Cudowną podróż*. Była gruba, jednotomowa, miała brązową płócienną okładkę. Teraz czytam ją w dwutomowym wydaniu Ossolineum, w serii Biblioteki Narodowej dla Młodzieży. Powieść SELMY LAGERLÖF o chłopcu, pomniejszonym za karę przez krasnoludka, przelatującym na grzbiecie domowego gąsiora, w stadzie dzikich gęsi ponad ojczystą Szwecją — napisana została spokojnie, rozważnie, z pedagogiczną — wyraźną także dla dziecka — intencją. Stanowi mocną tkaninę.

ZAKLĘCIA. Najbardziej zapadły w pamięć słowa-zaklęcia: Skania, Dalarna, Laplania, także imię Akki z Kebnekajse, przodownik stada i najstarszych dzikich gęsi: Yksi, Kaksi, Kolme, Nelje, Viisi, Kuusi (dopiero teraz z przypisu dowiedziałem się, że to nazwy fińskie liczebników). W przekładzie Janiny Mortkowiczowej jest też gąsior Marcin i lis Mykita, są imiona znaczące: Lekkopuszka, Pięknopiórka, Złotooczka, ale one chyba tylko oswajały lekturę, łączyły szwedzką opowieść ze znanymi już baśniami i przypowieściami o ludziach i zwierzętach, stanowiły tło dla słów-zaklęć, otwierających świat „Cudownej podróży”, inicjujących; wśród nich było też nazwisko głównego bohatera, Nilsa Holgerssona. Tylko słowa tajemnicze i rzeczywiste, oznaczające coś

lekcyjne ze mną pan Wawszczak, znakomity mój nauczyciel. Mapa ta była osobliwa, gdyż północ w niej była na dole, na dole więc było morze, nad morzem Gdynia, wyżej Warszawa, Poznań, Kujawy, i Polecie i Wołyń, a na samej górze łańcuchy Czarnohory z malowanymi pod nią Huculami, Gorgany, z Bojkami, Bieszczady, i Pieniny, i Tatry z góralami i Beskid. Dymły kominy Stalowej Woli, stały figurki w ludowych strojach. Mapy Szwecji nie widziałem tak dokładnie, nie potrafiłem wymienić gór i rzek z ich dopływami, ale była to mapa rzeczywiste, a nie, jak ta mapa Polski, na niby, ożywiona.

Patrzyło się z góry. Patrzenie z góry daje poczucie władzy nad oglądaną krainą. Władza ta musi się łączyć ze szczególną odpowiedzialnością. W *Cudowną podróż* oprócz zasadniczej perspektywy z lotu ptaka, wprowadzone zostało wiele pomniejszych geograficznych, niejako wtrąconych. Są to genezyjskie mity o olbrzymach; jedna ich izba okazuje się całą krainą, ogród zaś — miniaturą prowincji; może go zwiedzić pomniejszony w krasnoludka Nils Holgersson. Widzimy, jak tworzy się Uplandia, która powstała, jakże piękna, z resztek oddanych litosciwie przez inne, zamożniejsze okolice. Towarzyszymy rzekom w ich początkach, gdy zbiegać doliny, przerywając się przez góry, dążyły do morza. Mając dystans do mapy-modelu, do widzianego w całości (ale także oglądanego w szczególe) kraju — kocha się go jak celowo sporządzony wytwór.

Czytałem Lagerlöf wśród innych autorów i książek. Znałem dużo powieści PRZYBOROWSKIEGO, książki o lwowskich Orleńcach, o *Bohaterskim misiu*, słuchałem czytanej na głos mojej babce *Potopu* (w całości) i nam przez mamę, we fragmentach *Ogniem i mieczem*. Słyszałem *Śpiewy historyczne*, miałem albumik własny z reprodukcjami obrazów Matejki (premia za opakowania z cyklorii Franka). Przy tym była wojna, przewalała się historia. Wdrażanie w życie było wdrażaniem w jej rytmy. A tu zupełnie co innego: geografia i mitologia, nauczanie słoju i poznawanie przyrody. Historia była w tym nauczaniu miłości do Szwecji, w tej pedagogice — zwłaszcza historia polityczna w porównaniu z naszą pedagogiką — gdzieś w dalekim tle, jakby nieważna.

Cudowna podróż mówi nie tylko o wędrowce, ma ona sprawić, że Nils będzie wiódł świadome życie człowieka osiadłego, ma więc też wzbudzać miłość do osiadłych i do ich trybu życia. (Nie wiedziałem, że książka ta była pisana jako podręcznik geografii, mający powstrzymać młodych Szwedów od emigracji.) Pewna prowincjonalność i anachroniczność ówczesnej Szwecji wydać mi się musiała bliska, wzrastałem przecież w warunkach prowincjonalnych i anachronicznych (owa staroświeckość w zmieniających się czasach odczuwało nawet dziecko). Pewnych rzeczy, o których czytałem w innych książkach nie mogłem sobie wyobrazić, czasem bardzo prostych: np. jak można kupować w sklepie na co dzień chleb? Wkrótce ta zwykłość staroświecka przerodziła się w pełną niezwykłość, gdy dom został najdostojniej rozbity, a dotychczasowy świat jakby wyleciał w powietrze na wybuchających minach.

pokazana jako organiczna. Tworzyła się wraz z powstawaniem bardziej fizycznej niż politycznej mapy kraju. Owe podania, stroje, zwyczaje przedstawiały się mi spójniej niż folklor polski, o który czytałem i o którym się uczyłem. Poznawałem Szwecję z jednego, a nie z wielu źródeł o różnej wartości. W dodatku polskie źródła o Polsce mogły być sprzeczne z doświadczeniem, książką z rzeczywistością. Daleką Szwecję omijały fronty, na wiszącej u ojca mapie nie wbijano w jej obszar kolorowych szpilek. Plastyczna przedwojenna mapa Polski niedługo już na zawsze miała stracić aktualność. (Wtedy zresztą też pokazywała coś, co było niedawną przeszłością i celem, a nie teraźniejszością).

Powieść sławiąca osiadłych wpływała na rodzaj, na kierunek patriotyzmu.

DOBROĆ. Można być dobrym interesownie (Nils dlatego postępował dobrze, że chciał wrócić do ludzkiej postaci), ćwicząc się jednak w dobroci, znajduje się w niej upodobanie i już praktykuje się ją dla niej samej. Lagerlöf jest nauczycielką energiczną i skuteczną, z autorytetem. Utożsamia się chyba z Akką, a w każdym razie my, czytelnicy ją z Akką utożsamiamy bardziej niż z występującą w powieści autorką, która wysłuchuje (też interesownie) dziejów zczarowanego Nilsa. Z Akką — mądrą wychowawczynią, starą i szarą dziką gęsią. Była wzorem autorytetu; autorytety, jakich będzie się szukało w przyszłości mają być podobne do Akki. Zna ona porządek świata, swoje miejsce w owym porządku, swoją w nim godność, powinność swojego stanowiska. Idzie zaś o podstawowy porządek, niezależny od innych, zmiennych, który trwa mimo rozchwiania świata i zmiany norm — najbardziej zasadniczy. I co ciekawe, co ważne, Akka nie przewodzi stadu osiadłych, lecz koczownikom.

ZWIERZĘTA. Jest gęsią. Co to znaczy? W jaki sposób (w tej powieści) jest ona ptakiem? Zczarowany Nils mówi językiem zwierząt, może się z nimi porozumiewać. Podobnie rozmawiał z ptakami bohater innej mojej ulubionej książki — Jaś Ptas. A więc dopiero, gdy człowiek traci swoją zwykłą cielesną postać, pęka nieprzekraczalną barierą pomiędzy nim a zwierzęciem? Aby więc móc się z nim porozumieć człowiek musi zostać wygnany ze swego człowieczeństwa? Dlatego więc owo porozumienie dokonuje się zawsze poza porządkiem obowiązującym osiadłych, jest zawsze tego porządku przekroczeniem (choć nie musi mu zaprzeczyć). Wtedy, w czasie wojny czytałem także *Księgę dżungli*. (Lagerlöf, jak pisze w postawie do jej książki Chojecki, też czytała KIPLINGA). Dzikie gęsi nie są tym samym co plemię wilków, kruk Bataki ma inny status niż wąż Kaa, inne są prawa rządzące światem zwierząt, ale Akka przypomina Matkę Wilczycę. To są zwierzęta nie alegoryczne, nie z bajek, ani niebaśniowe (choć mówią), ani z animowanego filmu (wtedy tego nie znałem). Są poniekąd rzeczywiste, ale tylko poniekąd. Jakże przykro było patrzeć na angielską ekranizację *Księgi dżungli*, gdzie sfilowano ludzkie dziecko, Mowglię wśród

wentualnie lotu balona albo dzikich gęsi. Największym wyczynem było objechanie kuli ziemskiej w ciągu 80 dni. Po oceanach krążyli piraci, w koloniach mieszkali dżicy. Po preriach biegali bizoni, na które polowali Indianie. Ostatni Mohikanin (znany jeszcze MIGKIEWICZOWI) był współczesnym Winnetou, bohaterem VERNE'A i chłopcom z książki GIZYCKIEGO przemierzającym zrewolucjonizowaną Syberię, a także Nilsowi Holgerssonowi i Stasiowi oraz Nel z *W pustyni i w puszczy*. Tylko bohaterowie powieści historycznych żyli gdzie indziej, kiedy indziej, w określonym czasie. Inni — byli mi współcześni — mają lord i Mary kapryśnica z *Tajemniczego ogrodu*, Heidi Joanny Spiri, mieszkająca na halach alpejskich i Pollyanna, która uczyła, jak można być zadowolonym przy największych przeciwnościach losu. Zdałem już sobie niejasno sprawę, że są oni jakby osobno, jakby w innych pośrodkach, że nie mogą przekraczać okładkę zamieszczanych przez siebie książek, nie mogą się wzajemnie odwiedzać, w każdym razie, że jest to trudne. A także, że nie mogliby znaleźć się nagle w rzeczywistym świecie, tym w którym żyłem ja, moi rodzice, moje babki, inne dzieci i wszyscy, których znałem. Mogłem to wprawdzie sprawić bez większego trudu, ale tylko moją wyobraźnią, tylko na niby.

Nie orientowałem się, nie mogłem pewnie, które z tych książkowych światów są rzeczywiście ważniejsze, a także mniej ważne. O tym miałem się przekonać później, kiedy — o czym wspominałem — świat w którym żyłem wyleciał w powietrze i wszystko się zmieniło. Wtedy szczególnie cenne było to, co mogło określać porządek także w tym nowym świecie, co przynajmniej uczyło szukania w nim prawdziwego porządku. Do takich książek z pewnością należała *Cudowna podróż*. Nawet, kiedy latami jej nie miałem w ręku, pozostawała nią przeniknięta. Mój debiutancki tomik wierszy rozpoczynał utworem, w którym wspominam Nilsa Holgerssona. Zresztą mocniej niż tropiki pociągały mnie w lekturach dzieciństwa krainy chłodne. Obok północnej Skandynawii — Patagonia, po której przechadzał się naturalista entomolog Paganel w *Dzieciach kapitana Granta*. Ale ani do rzeczywistej Szwecji, ani do rzeczywistej Patagonii nigdy nie pojechałem.

Rozumiałem mądrość Akki, która wiedziała, że Nils nie może przedłużyć swej cudownej podróży, że po inicjacji musi wrócić do ludzkich wymiarów, że nie będzie już rozmawiał ze zwierzętami, a zwierzęta już nie będą pojmować jego słów. Ze właśnie inicjacja pozwoli mu prowadzić życie osiadłego. Ale przecież i to prawda, iż „ogarnęła chłopca tak bolesna tęsknota za odlatującymi gęśmi, że prawie chciał stać się znów Paluszkiem i móc podróżować ze stadem dzikich gęsi poprzez morza i lądy”. Tak kończy się *Cudowna podróż*.

Anna Bergman

Gdy zapytałem szwedzkiego humanistę what about Anna Bergman, Ingmar Bergman's daughter, nie był w stanie nic konkretnego powiedzieć. Wysoko, nader wysoko uniosły się moje brwi, na chwilę znów przeistoczyłem się w postać na wskroś literacką, Gustaw zatrzymał się na sekundę, tym razem staliśmy na Siennej rozdarci pomiędzy barem mlecznym a restauracją Staropolską, nic o Annie Bergman nie wiedzieć, to znaczy ignorować istotne realia kulturowe, myślę, gdybyś Ty skandynawski nieuku, zapytał mnie o Mickiewicza, to ja bym objaśnił wszystko co i jak, ale gdybyś mnie zapytał np. o Danutę Lato albo Lidie Wasiak, też bym umiał powiedzieć. This is

Wyobrażałem sobie, że nie zwykłym ale nadzwyczajnym wypełni je charakterem pisma, kupowałem zeszyty, które wydało mi się, zapiszę nie wiadomo czym, w swojej, jak teraz widzę, typowo protestanckiej pysze unikałem jednoznacznych rozstrzygnięć, nie chciałem pisać pamiętnika, powieści, noweli, pragnąłem czegoś więcej, czegoś, co przekraczałoby znane treści i formy.

Drewniane stoły ugięły się pod ciężarem literatury spirytystycznej. Przepowiednie. Proroctwa. Zjawiska tajemne. Jasnowidzenia. Materializacje. Listy do uzdrowicieli. Eusapia Palladino. Czarnoksiężstwo i medyumizm. Wyznania bioenergoterapeutów. Cudotwórca Jóźwiak przywraca życie. Żył wodne, żyły złota, sny, kabały, złote obłoki — ślady tłustych palców na brzegach astralnych stron.

Byli coraz liczniejsi i wszyscy bez wyjątku, co wzmagalo mój sceptycyzm, nosili niezwykle pospolite i plebejskie nazwiska. W końcu nie wierzę, ale rozumiem: Ochrowicz, Ossowiecki, Szuman. Ale jasnowidz Nowaczek? Cudotwórca Więcek? Uzdrowiciel Beres?

Mój obdarzony jedynie imieniem jasnowidz miał w swym jasnowidzeniu posiadać pewną wyraźną i, nie da się ukryć, wąską specjalizację. O tym zaś, iż w ogóle posiada dar jasnowidzenia, miał się dowiedzieć w nader często spotykanej w biografiach spirytystycznych — scenie nagłej iluminacji.

Udo kubańskiej dyskobolki

Czaplina weszła do przedpokoju. Płomień, gdy przekraczała próg zachwiał się, i Gustaw odniósł koszmarnie wrażenie, iż czyjaś wielka jak trąba powietrzna ręka wsunęła do jego mieszkania równie wielką kukłę w płomienistej czaple.

— U mnie nic wczoraj nie było, u mnie nic nie było, pani Czaplina.

Gustaw wszedł do dużego pokoju i skierował się w stronę okna.

— U mnie nic nie było.

— Jak nic nie było, to kto, pytam się, kto napaprószył na parapet?

Czaplina ze zdecydowaniem świadczącym o jej nadzwyczajnej sile fizycznej i przywódczych skłonnościach oraz z pewnością gestu dowodzącego, iż nie wykonuje tej czynności po raz pierwszy, odsunęła firankę i otworzyła okno.

SPIS CUDZOŁOŹNIC

PROZA PODRÓŻNA

Jerzy Pilch

powiedziałbym pokazując na monument wieszczu, któryśmy przecież przed chwilą mijali, monument to very famous Polish writer and this is powiedziałbym pokazując, dajmy na to, kalendarz z odpowiednim wizerunkiem, monument to very famous Polish body. Życie, chłopie, składa się z sprzeczności. I żeby sprawę definitywnie zamknąć, wyjąłem z portfela złożoną na czworo fotografię Anny Bergman, pokazałem szwedzkiemu humaniście i zapytałem: Where she is now? Where she live's? Dalej niczego nie wiedział, zawstydzony i zmieszany bezradnie rozłożył ręce, may be in Stockholm, powiedział niepewnie i popatrzył na mnie pytająco, pokiwalem z politowaniem głową, dam ja ci Sztokholm psubracie, pomyślałem, in London powiedziałem rozeźloni, in London, she lives in London, w małym domku na przedmieściu Puttney i schowałem tę fotografię, bo nie będę ukrywał: fotografia Anny Bergman dobrze mi robi na nerwy, schowałem tę fotografię wyciętą z muzealnego egzemplarza Penthouse'a com go kilka tygodni wcześniej kupił na targowisku pod Halą Targową.

Wtedy w połowie lat osiemdziesiątych lubiłem pod Halą Targową spędzać niedzielne popołudnia. Drewniane stoły ugięły się pod ciężarem rzeczy nie z tej ziemi, a w powietrzu unosił się mdły odór prowokacji. Muzealny egzemplarz Penthouse'a nabyłem przypadkiem i zapewne wiedziony powierzchownymi perwersjami: Anna Bergman dotykała epickim biustem Głównych nurtów marksizmu Kołakowskiego.

Przechadzałem się tam poszukując dwu rzeczy: pierwszego tomu *Zjawisk medyumicznych* Ochrowicza oraz bezdrzewnego zeszytu w linie. Raz po raz kupowałem nowy, sama czynność kupowania nowych bezdrzewnych zeszytów w linie niezwykle mnie pndiecała.

W sklepach papierniczych coraz rzadziej można było nabyć bezdrzewny zeszyt w linie natomiast tutaj — zgodnie z odwiecznymi rygorami biblijnych targowisk było wszystko. Widywałem nawet zachodnioeuropejskie, pachnące perfumami bloki listowe, ale jakże je hańbić chińskim piórem. Kupowałem w zamian kolejny produkt zakładów papierniczych w Strzegomiu i zappełniałem pierwszą stronę przypadkowymi notatkami. Do dziś pozostało mi z tamtego czasu kilkadziesiąt zapisanych pierwszych stron w kilkudziesięciu poza tym nie tkniętych bezdrzewnych zeszytach w linie. Przeważnie są to notatki dotyczące biografii jasnowidza.

Przeczytałem wtedy co najmniej kilkadziesiąt biografii jasnowidzów. Niektóre rzeczy kupowałem, niektóre czytałem w czytelni pracowników nauki B.

Doskonale wiedziałem, kim przeważnie bywają rodzice jasnowidza, jak wygląda poczęcie jasnowidza, jak wygląda dzieciństwo jasnowidza, jakim bywa on uczniem; znałem udręki jego dojrzałości, wiedziałem, co to znaczy być starym, z wolna niedołączając jasnowidzem. Oczywiście nie wierzyłem ani jednemu słowu, ale przecież żeby pisać, nie trzeba wierzyć.

Postanowiłem, nacytawszy się i narozmyślawszy dać świadectwo swemu sceptycyzmowi i napisać coś w rodzaju spowiedzi jasnowidza. Nad Polską płynęła przekazywana z ust do ust epika cudownie uzdrowionych i ocalałych ciał, biblijne podobieństwa tych, którzy przejrżeli, usłyszeli, odrzucili precz protezy, podnieśli się z posłań. Musztardowe chmury unosiły się nad coraz gęściejszymi punktami wypieku zapiekanki i raz po raz roztrącając rude obłoki, wyłaniali się zza nich kolejni cudotwórcy w ciemnych garnitu-

— tym, iż posiada nadprzyrodzone właściwości, Gustaw przekonał się w połowie lat osiemdziesiątych, gdy do jego drzwi zastukała pełna uwłaczających pretensji, jakoby ktoś znów puścił pawia na jej parapet, mieszkająca piętro niżej Eugenia Czapla. Gustaw był akurat zajęty odkurzaniem swego księgozbioru, a ponieważ czynił to tak jak zwykle: ujmował w każdą dłoń po kilka tomów, wychodził na balkon i parokrotnie, czterokrotnie lub pięciokrotnie uderzał nimi o siebie, w pierwszej chwili nie usłyszał stukania. Gdy w końcu je usłyszał, na mgnienie oka zastylł w pozie lunatycznego perkusisty, odłożył kolejną partię tomów na biurko, pobieżnie zlustrował swój wygląd i otworzył drzwi. Stojąca na progu Eugenia Czapla była natychmiast wygłaszać pełen uwłaczających pretensji monolog, niezbyt choć negatywny fakt, iż Gustaw przez dłuższą chwilę nie otwierał drzwi, musiał wpłynąć na jego prędkość i donośność.

— Niech pani pozwoli dalej pani Czaplina — powiedział Gustaw machinalnie i z dziwnym spokojem, w którym w gruncie rzeczy nie było nic dziwnego, ponieważ nie uwłaczający monolog Czapliny zaprzął jego uwagę, lecz płomień, żywy i wibrujący płomień unoszący się nad jej czołem. Widać go było wyraźnie, był masywny i brudnoczekoladowy niczym udo kubańskiej dyskobolki. Gustaw wpatrywał się weń hipnotycznie, śledził i studiował psychoanalityczne sekrety jego wnętrza, udawał, że nie wie, że się nie domyśla, udawał, że nie zna jego prawdziwego sensu i wymowy, bronił się przed wiedzą, która nagle nań spłynęła, ale płomień nad czołem ubranej w szmaragdowe spodnie i białe wdzianko z dzianiny Eugenii Czapli.

— Niech pani pozwoli dalej, pani Czaplina — powtórzył.

— Może to krasnoludki narzygały? Może to krasnoludków robota na moim parapecie?

Wychyliła się, a ogień nad jej głową w nagłym podmuchu październikowego wiatru zahuczał niczym piec Magnitogorska. Gustawowi wydawało się, iż przez listowie śniadych płomieni widzi jak kurz, który przez minutę unosił się z grzbietów jego książek, łączy się teraz z tysiącami swych odmian, wydawało mu się, iż niewyraźna i ciężka kopia mapy Krakowa wisi w powietrzu. Spojrzał w dół i ujrzał kaskadę blaszanych parapetów; tonęły w trawniku otaczającym wieżowiec, stan najbliższego należącego do Czapliny niezbitcie dowodził, iż zupełnie niedawno komuś, kto jakimś cudem znalazł się na pobliskich wysokościach, było dane zaznać bezbarwnego smaku własnych wnętrzności.

— Pani Czaplina, przecież już objaśniałem, już wielokrotnie objaśniałem...

Gustaw zaczął mówić z pewną irytacją, nieoczekiwanie przerwał i pospieszył do kuchni, wrócił po chwili niosąc szklankę wypełnioną wodą. Odszukiwanie szklanki, odkręcanie kurka, nalewanie wody, summa summarum napełnianie chwili elementarnymi czynnościami kolejny raz objawiło swe kojące moce. Gustaw był już spokojny.

— Pani Czaplina przecież już wielokrotnie objaśniałem, że jest to niemożliwe, przecież nie ma pani chyba zamiaru obalać praw fizyki...

Gustaw z wolna zaczynał uruchamiać w sobie protekcyjny ton.

— Proszę niech pani spojrzy, pani Czaplina...

Teraz był to już pretekcyjny tryumfujący, protekcyjny, z jakim król iluzji traktuje wianuszek otaczających go wielbicieli-niedowiarków.

Schulz: spojrzenie w przyszłość

(Ciąg dalszy ze str. 4)

Cóż więc jest u Schulza na serio? Na pewno lęk przez rozpadem świata jednolitego, mitycznego świata sensu, zastąpienie go przez abstrakcyjny, odczłowieczony świat współczesnej nauki, który Miłosz — za Williamem Blakem — nauczył nas nazywać „ziemią Ulro”. Autor *Sklepów cyrkonowych* zna antidotum na przerażenia z tym związane: lekarstwem mogłaby być odmienna opcja światopoglądowa, wybór innej — holistycznej i scalającej tradycji myślenia. Ale

— inaczej niż propagatorzy nowej gnozy — Schulz zdaje się nie do końca doierać swemu lekarstwu, choć lepszemu nie ma. Gdyby był wierzącym Żydem — wówczas może łatwiej znalazłby pocieszenie. Ale on jest raczej obywatelem świata, człowiekiem w ogóle, gospodarującym wśród nadmiaru, przebiegającym w dorobku wielu tradycji i kultur, które się nawzajem osłabiają i zdradzają, odbierając sobie definitywny, ostateczny charakter.

Byłoby więc tak, że nazwawszy niedawno Schulza „modernistą” w anglosaskim rozumieniu tego słowa, muszę teraz

dostrzec w nim raczej „postmodernistę” avant la lettre, czyli twórcę dystansującego się od modernistycznych mitów i formuł (Ihab Hassan znalazł ich siedem: urbanizm, technologizm, dehumanizacja, prymitywizm, erotyzm, antynomiczność, eksperymentalizm¹⁰), albo — jak chce Brian McHale — przenoszącego dominację swego dzieła z epistemologii na ontologię, pytającego, jaki jest skonstruowany w tekście świat? czym różni się rozmaite światy? Jakie jest nasze zadanie — zarówno w świecie rzeczywistym, jak i literackim? itd.¹¹ A może właśnie jest to normalne? Może wielkiego pisarza po tym poznamy, że w każdej epoce jawi się od nowa współczesny, nie przedawniony, wciąż inny? Co do mnie, od Schulza utopionego w tradycji wolę Schulza szlifującego ją niczym soczewkę, przez którą zagłada się w przyszłość.

¹ Por. A. Chciuk, *Atlantyda. Opowieść o Wielkim Księstwie Bataku*, Londyn 1969.

² Por. wspomnienie Edmunda Löwenthala w: Bruno Schulz, *Listy, fragmenty. Wspomnienia o pisarzu*, zebrał i opracował J. Ficowski, Kraków 1984, s. 57.

³ B. Schulz, *Wędrowki sceptyka*, w: *Opowiadania. Wybór esejów i listów*, opr. J. Jarzębski, Wrocław-Kraków 1989, s. 408-409.

⁴ B. Schulz, *Wędrowki sceptyka...*, s. 410.

⁵ Por. Bruno Schulz do St. I. Witkiewicza w: B. Schulz *Opowiadania. Wybór esejów i listów*, s. 442-443.

⁶ J. Prokopiuk, C.G. Jung, czyli gnoza XX wieku, wstęp pdo: C.G. Jung *Archetypy i symbole. Pisma wybrane* wybrał, przeł. i wstępem poprzedził J. Prokopiuk, Warszawa 1976, s. 37.

⁷ Por. R. Ruyer, *La Gnose de Princeton. Des savants à la recherche d'une religion*, Paris 1977. Opinie na temat ograniczonej wiarygodności książki Ruyera przytacza Piotr Marciszek: *Nowa gnoza Arthura Koestlera*, Wrocław 1987, s. 23-25 oraz 236-239.

⁸ Por. K. Maurin, *Narodziny integralnej świadomości. Refleksja nad dziełem Jeana Gebsera*, „Literatura na świecie” 1982, nr 3-4.

⁹ Por. J. Prokopiuk, *Paradygmat wyobraźni*, „Literatura na świecie” 1982, nr 3-4.

¹⁰ Por. I. Hassan, *POSTmodernISM: a paracritical bibliography*, w: *Paracriticism: Seven Speculations of the Times*, Urbana, Chicago and London 1975, s. 54-58.

¹¹ Por. B. McHale, *Postmodernist Fiction*, New York and London, s. 9-10.

Gustaw operetkowym gestem uniósł szklanę, przytknął ją do ust, przechylił głowę i trzymał ją przechyloną, trzymał, trzymał długo, stanowczo zbyt długo. Zdawać by się mogło, iż pije, on istotnie przełknął jeden, dwa łyki, nie więcej, potem wypełnił usta ściśle odmierzoną racją, załopotał znieścacką i groźnie policzkami i plunął. A raczej nie tyle plunął, rzec by raczej trzeba: wysłał z ust świetlisty pocisk, którego łagodna trajektoria rozciągała żółtawe pachnące siarką powietrze i omijając parapet Czapliny dotknęła mlecznym grotem niższego, następnego z rzędu. Czaplina śledziła lot tej, zdawać by się mogło, doskonałej imitacji pawia z pogardliwym sceptycyzmem.

Spis fajerwerków

Ochylilem się wygodnie do tyłu i powiodłszy po obliczu szwedzkiego humanisty okiem zwycięzcy, zapytałem: Czy wiesz co oznaczał płomień nad czołem Czapliny? I nie czekając na odpowiedź, bo przecież wszystko to było czystą retoryką, natychmiast odparłem: Płomień, jaki Gustaw ujrzał nad czołem Czapliny, oznaczał ochotę na łyk pieprzówki. Źródło, powody i korzenie jego jasnowidzenia są głęboko zanurzone w żółtawych nurtach Orinoka. Na kogo spojrzysz, na tego bęc. Na kogo Gustaw spojrzysz — wie, natychmiast wie, na co ma dana osoba ochotę, czy w ogóle, a jeśli tak to czym będzie się rządzić, w czym będzie nurkować, czy będzie preferować czystą czy kolorową, żytnią czy Sopolicę, winiak klubowy czy piwo Barbakan, węgierski szampan czy angielską gorzką, złotą jesiń czy koniak pewekowski. Płomień masywny jak udo kubańskiej dyskobolki oznaczał pieprzówkę.

Powiadam ci, z zadziwiającą wyrazistością ujrzałem tę scenę: Czaplina po dalszej burzliwej wymianie zdań, zbiega na dół, otwiera drzwi, wpada do kuchni, z kosztownego kredensu na wysoki półok wyjmując napoczętą butelkę pieprzówki i upija spory łyk. Żarłoczny język ognia nad jej utlenionymi włosami gaśnie.

Gdy pojąłem w pełni jakiego rodzaju umiejętnością zostałem obdarzony, ogarnęła mnie — chyba to pojmujesz — konsternacja. Bo jeśli już, to wołałby człowiek być jasnowidzem pełnokrwistym, że tak powiem, z prawdziwego zdarzenia, wiedzieć, kto obejmie władzę po Jaruzelskim, znać daty następnych amnestii, podwyżek cen, strajków, stanów wojennych, zmian w biurze politycznym, sojuszników interwencji, upadku wszystkiego. Być jasnowidzem, który śmiało i otwarcie może powiedzieć: ja Gustaw przewidziałem marzec, przewidziałem grudzień, przewidziałem sierpień, przewidziałem inwazję na Czechy, przewidziałem Solidarność, krach papierosowy, stan wojenny, nawet w pięćdziesiątym szóstym jako dziecko też miałem zawroty.

Albo co począć. Gdy się nie ma co się lubi, to się pije, co się ma. Moje jasnowidzenie było bez wątpienia jasnowidzeniem stopnia niższego, ale przecież i tak otwierała się przede mną prawdziwa epicka, prawdziwie bułhowska perspektywa dalszych przygód Gustawa. Wiedziałem, że nie należy szarżować, nie należy się spieszyć w operowaniu

piękną umiejętnością. Przeczuwałem, iż pomimo najlepszej woli nie zdołam wziąć udziału we wszystkich epizodach. Na pierwszej stronie kolejnego bezdrzewnego zeszytu w linię rozpoczyna się wielka żegluga przez nasze święte miasto, żegluga większa od naszej żeglugi. Gustaw wędruje przez krakowskie knajpy, przez Wierzynek, Ermitage, Balaton, Temidę, Dniepr, Cyganerie, Nową, Żywiec, Basztę, Smoczą Jamę, Warszawiankę, Europę, wędruje i zapisuje barwy i kształty płomieni nad pachnącymi łupieżem i szamponem tatarochmielowym głowami. Dalej idzie spis instytucji, w których kunszt Gustawa mógłby być przydatny, bo przecież z takim talentem mógłby Gustaw prowadzić doradztwo wódczane, pracować w gastronomii, mógłby w najdroższych restauracjach być suto opłacanym kierownikiem sali, mógłby mieć własny sklep monopolowy, very famous Silense Wine Shop, w którym obsługa bez słów by się odbywała, mógłby pracować w milicji drogowej, wspierać społeczne kontrole trzeźwości, służyć swym przenikliwym spojrzeniem w poradniach antyalkoholowych, mógłby mieć własny, ale mógłby też pikietować inne sklepy monopolowe, ach, ja Gustaw, choć nie katolik, byłbym przecież królem pikietarzy. We have in Poland, znów zwróciłem się do Szweda, biorąc na swe ramiona kolejny przerażający me siły ciężar objaśnienia jeszcze jednego lokalnego obyczaju, we have in Poland abstinential months and when one coming sone catholical people with flags and transparents standing before wine shops and say drunks that drinking is bad. I can be king of this people gdybym chciał, of course, byłbym królem pikietarzy, jeździłbym od parafii do parafii, krążyłbym po kraju, siłą spojrzenia umiałbym zetrzeć w proch butelkę w dłoniach pijaczyny.

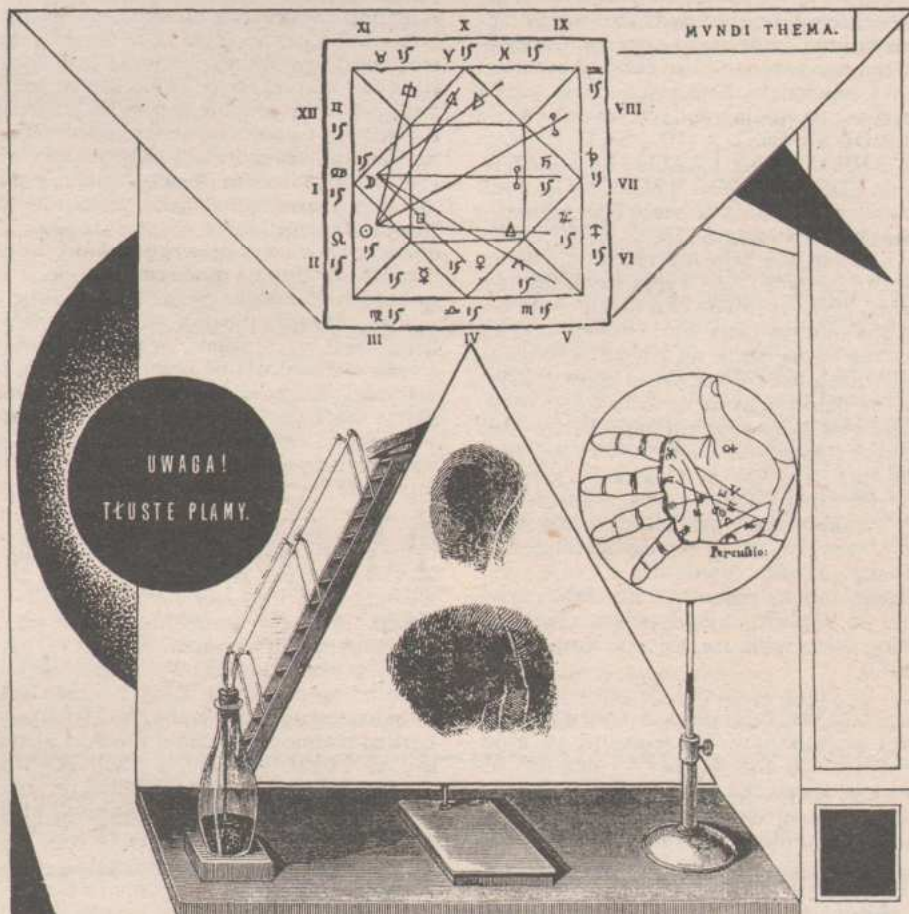
Wyobraź sobie mnie, Gustawa, stojącego na przykład przed sklepem monopolowym przy Solskiego. Stoję tam, rzecz jasna, jak na ewangelika przystało bez żadnych bałwochwalczych atrybutów: obrazów portretów, chorągwi, transparentów, bez pomocy niczyjej, żaden nie towarzyszy mi braciszek, ministrent, chórzysta, intelektualista pisujący w Tygodniku Powszechnym, stoję tak jak teraz przed tobą siedzę, z gołymi rękami i palającym spojrzeniem stoję i patrzę i widzę: nadchodzi Cień Pijaczyny w pajęczynowej kapocie. Idzie, a nad jego asymetryczną głową bładorudy płomień się kolebie, za pazuchą ścisną butelkę na wymianę, w zaciśniętej garści odliczoną kwotę, idzie i sam niczym płomyk się chybocze, obaj się chyboczą — on i znak nad jego czołem. Ja, Gustaw, wiem rzecz jasna, co oznacza bładorudy chyboczący płomień. Bładorudy chyboczący płomień oznacza ochotę na likier miodowy Bello. Likworu miodowego Bello pragnie nadchodzący cień pijaczyny, likworu miodowego Bello pragnie jego język, podniebienie, gardło, wnętrzości i oszalały z przeżalenia szary szczur pośrodku. Nie będziesz więcej pijał likworu miodowego Bello, wołam przydając głosowi pozaziemskiej mocy, nie będzie twoja prawica więcej sięgać po likwor miodowy Bello, szepczę mu do ucha w stosownej chwili, gdy właśnie mnie mija, gdy sądzi, że po-

konał wszystkie powietrzne przeszkody, gdy pewien jest, że mieniące się wszystkimi napisami na etykietkach wrota raju stoją przed nim otworem. Butelka na wymianę wytacza się spod pajęczynowej poły. Wymięte banknoty wysypują się z rozcapierzonych palców, niebo nad zaulkiem Solskiego otwiera się, i jeśli myślisz, my abstinential friend, że pojawiają się tam pikiety anielskie wyspiewujące chwałę duszy niedopitej, you are wrong, pojawia się tam między obłokami sam pszennowłosy Wieniedikt Jerofiejew i napomina, jak złą i jak niesprawiedliwą rzeczą jest prześladowanie skacowanych. W pokorze wysłuchuję słów jego, obracam się, wchodzę do sklepu, kupuję dwie butelki likworu miodowego Bello i ruszam w pogoń za tamtym. Zielona kurtyna otuchy opada na zasnuć ceglanym pyłem śródmieście.

Prawdziwie finałowa scena miała mieć miejsce w restauracji Ermitage. W dzień deszczowy ale ciepły (najlepszy) zapraszam tam biegłego w interesujących nas dziedzinach, mojego przyjaciela docenta Czatyrda. Mój przyjacielu Czatyrda, mówię mu, na dobry początek skoncentruj się i nabierz ochoty na kieliszek żytniej, ale skoncentruj się studziennie, skoncentruj się co najmniej jak na kolokwium habilitacyjnym, kieliszek żytniej powtarzam, otwieram bezdrzewny zeszyt w linię i notuję, a teraz kieliszek jarzębiaku, notuję, upewniam się, pięćdziesiątka starki, zapisuję zawodnym chińskim piórem, żubrowka,

starowin lubuski. Ani łatwy, ani prawdę powiedziawszy tani, nie jest to eksperyment, ale warto jest zachodu sepiowe wnętrze Ermitagu, płomień nad małą głową docenta Czatyrda zmieniają się jak wiosenna błyskawice, scena pełna jest dawno nie zaznawanej swobody pędu i pełnego oddechu, kelnerzy przybywają i znikają, stalówka przebiega karminowy obrus, a płomień znad skupionego czoła mego przyjaciela pada na bezdrzewny spis trunków, substancji i ogni. Biały buzujący — żytnia, biała poświata sprawiająca teatralne wrażenie — żytnia maziowiecka, biały nieruchomy płomyk — czysta wyborowa 38%, biały pełgający — czysta wyborowa 45%, korona białych pełgających płomyków — czysta wyborowa ze srebrną etykietką, półprzejrzysty zwodniczy — szampan radziecki, całkowicie matowy zwodniczy — szampan węgierski, mahoniowy nieruchomy pojedynczy płomyk — winiak klubowy, mahoniowy buzujący — winiak luksusowy, mglisty niczym welon panny młodej — prunelka, wiśniowy małeńki raz po raz gasnący — Cassihvera, żółty jak kaczeńce — koniak francuski, płomień ciemny jak listopad — starowin lubuski, płomień w kształcie harcerskiej lilijki — czysta z pepsi colą, płomień burzliwe, ciemne i kruche jak trawa zarastająca przystanki tramwajowe — ochota na cokolwiek.

(Powieść, której fragment drukujemy ukazuje się niebawem nakładem wydawnictwa „Puls”).



Rys. ALEKSANDER PIENIEK

KSIAŻKI NADESŁANE

STOWARZYSZENIE PISARZY POLSKICH

EWA NAJWER: „Ziemia ukradzioną Bogu”. Wiersze. Poznań 1991. Nakład 500 egz. Cena 12.000

Doprawdy z satysfakcją odnotowujemy firmę SPP jako wydawcę! Tym bardziej, że autorka jest znana i ceniona poetka. „Ziemia ukradzioną Bogu” składa się z czterech części, z których ostatnia miała swój pierwodruk w krakowskim podziemnym wydawnictwie „Libertas” w 1988 r. pt. „Z wilczym pasterzem”. Na trzy poprzednie części składają się przejmujące wiersze sybirackie i reminiscencje nieludzkiego sowieckiego czasu.

ELSE LASKER-SCHÜLER: „Ballady hebrajskie i inne wiersze”. Wybór, wstęp i interpretacja, Eugeniusz Wachowiak. Poznań 1991. Nakład 1000 egz.

Znany poznański poeta, Eugeniusz Wachowiak przybliżył nam i przetłumaczył (co nb. zostało odnotowane na karcie tytułowej) twórczość Elsy Lasker-Schüler; nie znanej dotąd w Polsce. W wydanych w 1913 roku „Balladach hebrajskich” poetka objawiła swoje genetyczne więzi z żydowskim narodem i judaizmem pozostając jednak wierną niemieckiej mowie, w

której powstają jej poezje, powieści i sztuki teatralne — pisze tłumacz. Dodajmy, że autorka ta była zaprzyjaźniona z Georgem Traklem, a Gottfried Benn powiedział, iż jest ona „największą poetką, jaką miał Niemcy.”

ANDRZEJ OGRODOWICZ: „Jablusko ziemi”. Poznań 1992. Nakład: 500 egz. Zbiorek wierszy młodego (jak się zdaje) poety o inklinacjach metafizycznych. Należy założyć, że w tej serii SPP-owskiej brak jakichś choćby najkrótszych notek o autorach).

KRZYSZTOF MYŚKOWSKI: „Pasja według świętego Jana”. Biblioteka Oddziału Bydgosko-Toruńskiego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Wydawca: Kujawsko-Pomorskie Towarzystwo Kulturalne. Nakład 500 egz. Str. 100.

Gościwie przyjęty przez krytyków (Błoński, Burek) debiut prozatorski autora ur. w 1952 r. w Toruniu, absolwenta filologii polskiej UMK. Jan Błoński w prozie tej dostrzegł Wyzucie formy narracyjnej, rygor, świadomość rzemiosła. Tomasz Burek pisze: Jest to literatura. Kunsztowna, subtelna, rzetelna.

OSSOLINEUM

KAROL HUBERT ROSTWOROWSKI: „Wybór dramatów”. Opracował Jacek Popiel. Wrocław Warszawa-Kraków. 1992. Biblioteka Narodowa, seria I, Nr 281, Str. 576.

Długo oczekiwany tom dramatów wielkiego pisarza, którego Irena Sławińska określała jako „od czasów Wyspiańskiego talent najpotęż-

niejszy, najbogatszy”. Do niniejszego wyboru weszły dramaty: „Judas z Kariothu”, „Kajus Cezar Kaligula” i „Niespodzianka”. Może edycja ta przypomni teatrom twórczość tak niestudnie — i tendencyjnie chyba w okresie komunizmu — zapomnianego dramaturga.

WACŁAW POTOCKI: „Wiersze wybrane”. Opracował Stanisław Grzeszczuk. Wstęp Janusz S. Gruchała. Wydanie trzecie zmienione. Biblioteka Narodowa, seria I, Nr 19. Wrocław — Warszawa — Kraków, 1992. Str. 364. Pierwsze po wojnie wydanie w nowym opracowaniu. (Dawne — Aleksandra Brücknera).

KORNEL UJEJSKI: „Wybór poezji i prozy”. Opracowała Krystyna Poklewska. Wydanie trzecie zmienione. Biblioteka Narodowa, seria I, Nr 37, str. 188.

Pierwsze dwa wydania ukazały się w tej serii w 1.1921 i 1924 w oprac. Michała Janika. Ujejski, poeta drugiej generacji romantyków, autor m.in. „Skargi Jeremiego” (słynny „Chorał”) — „Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej”), jak i utworów prozą („Listy spod Lwowa”) wzbudzi, być może, nowe zainteresowanie czytelników.

HENRYK SIENKIEWICZ: „Wybór nowel i opowiadań”. Opracował Tadeusz Bujnicki. Wy-

danie czwarte. Biblioteka Narodowa, seria I, Nr 231. 1992. str. 444.

JANINA KOŚCIAŁKOWSKA: „Łódź bukowa”. Wrocław-Warszawa-Kraków, 1992. Str. 238.

Autorka, urodzona we Lwowie, gdzie spędziła część okupacji sowieckiej, zdołała przedostać się do Szwajcarii, potem zaś do Anglii. Ogłaszała tam powieści, eseje i opowiadania. „Łódź bukowa” będąca „quasi-pamiętnikiem, rozbudowanym esejem” — jak określa tę książkę Tadeusz Nowakowski — otrzymała w 1988 r. nagrodę „Wiadomości”. Po raz pierwszy wydana była przez Polską Fundację Kulturalną w Londynie.

JÓZEF MAKSYMILIAN OSSOLIŃSKI: „Obrona autorstwa”. Wstęp i przygotowanie do druku Krystyna Korzon i Dobrosława Platt. Wrocław 1992 str. 36.

JAN TRZYNADŁOWSKI: „Edycje pomnikowe Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich” Wydanie uzupełnione. Wrocław-Warszawa-Kraków, 1992. Str. 112.

Omówienie i wykaz edycji i serii „monumentalnych” Ossolineum, odznaczających się szczególną rangą dzieła, wysoce starannym wystrójem edytorskim i gruntownym opracowaniem naukowym.

OKRUTNE NIEBO HISTORII

ALEKSANDER ŚCIBOR-RYLSKI: „Pierścionek z końskiego włosa”. Powieść.
Do druku podał i opatrzył posłowiem Tadeusz Drewnowski. Nakładem Fundacji „Kultura 90”, Warszawa 1991.

Lektura powieści Aleksandra Ścibora-Rylskiego uświadamia ze szczególną ostrością kilka podstawowych problemów polskiej mentalności literackiej i dlatego zasługuje na uważniejszą refleksję. Opublikowana 30 lat po jej napisaniu odsłania pewne przyzwyczajenia myślowe, które gotów byłbym nazwać skamielinami, gdyby nie zachowywały one trwałości nie tylko przedłużającej się do dzisiaj, a nawet nieświadomie i dość powszechnie pielęgnowanej. Jest to przede wszystkim milcząco żywione przekonanie o „nieproblematycznym” charakterze prawdy. W świetle tego przekonania prawda o nas, naszym życiu, naszej zbiorowości, naszej historii, jest dostępną w sposób naturalny jako wynik naszego nieuprzedzonego spojrzenia. Trzeba tylko zdystansować się od zastanych stereotypów literackich, od manieryzmów stylowych, trzeba usunąć wszelkie ograniczenia cenzury zewnętrznej i wewnętrznej — i rzeczywisty świat wyłoni się przed nami w całej swojej obiektywnej wymowie, w obiektywnym wyglądzie, czy zgoła w swoich obiektywnych sensach.

Ja napiszę, jak było, czy jak jest naprawdę — aby to uczynić, nie potrzebuje niczego więcej, jak tylko nieuprzedzonej wiedzy, osobiście sprawdzonego doświadczenia i wewnętrznego poczucia zgodności mojego zapisu z tym, co wiem, widziałem i przeżyłem. Tak piszą swoje teksty kolejne pokolenia młodych prozaików, od BOROWSKIEGO i HLASKI, poprzez KORNHAUSERA i ZAGAJEWSKIEGO, aż do EUSTACHEGO RYLSKIEGO. I tak została zamierzona powieść *Pierścionek z końskiego włosa* ŚCIBORA-RYLSKIEGO. Wielu tak właśnie rozumie „realistyczną świeżość”: że wystarczy nieuprzedzona myśl, sprawne oko i biegłość w posługiwaniu się językiem. Prawda wyskoczy wówczas sama na prawach naturalnego następstwa, jak się to stało w przypadku dziecka, które odważyło się powiedzieć głośno, że król jest nagi. Tak myśleli jeszcze młodzi poeci z grupy „Teraz” (dzisiaj już tak nie myślą): że wystarczy „wyjść z tego kokonu, rozgarnąć te błony” (zakłamanie, przemilczenie, nowomowy), i wszyscy staniami się zdolni do mówienia prawdy, ponieważ kieruje nami miłość dobra i nienawiść do zła. Przypominam tu głośny niedgi wiersz Zagajewskiego *Prawda* ze zbioru *Komunikat* (1972).

A przecież wiadomo, że prawda naszego, także literackiego, poznania ma charakter podmiotowy. My jesteśmy jej źródłem i w nas ona dojrzewa i bez nas nie istnieje. I wszelka prawda obrazu literackiego jest projekcją świadomości jego twórcy. Fundament wartości, hierarchia

znaczeń, porządek sensów — czyli to wszystko, co tworzy prawdę tekstu — pozostaje poza kryteriami obiektywizmu. A jednak za taką (tzn. obiektywną) gotowi jesteśmy ją uznać. Tyle że ta nasza gotowość domaga się wypełnienia kilku warunków, z których jeden będzie tu przypomniany: że projekcja pisarza zostanie mocno, czy nawet wielorako „zakorzeniona”, że wspiera ją świadomość jakby nadrzędna (w stosunku do ulotności czy iluzyjności doznania), że uzasadnia ją silna (kulturowo) mitologia, dojrziała (niekoniecznie wypowiedziana wprost) filozofia, że urodziła się ona na mocnym gruncie, który stanowić będzie płaszczyznę porozumienia. Prawdę pisarza gotowi jesteśmy uznać pod warunkiem, że pewne istotne znaczenia rozumiemy podobnie jak on, że wartości, do których się odwołuje, są naszymi wartościami, że sensy, jakie nam wskazuje, obecne były już przedtem w naszych umysłach. I wtedy dopiero godzi się na jego spostrzeżenia i ujawnienia.

Mentalność literacka płoszy się i gubi za każdym razem, kiedy próbuje dać „obiektywny” obraz doświadczeń lat 1944–45, obraz duchowego świata Polaków wepchniętych w nową okupację, ponieważ mentalności tej brakuje „mocnego gruntu”, brakuje pojęć, znaczeń, sensów, na których obraz taki mógłby zostać zbudowany. MIŁOSZ pisał bardzo trafnie o poczuciu pustki i absurdu, jakie ogarnęło umysły u schyłku wojny, tzn. o świadomości niezdolnej do stworzenia jakiegos porządku znaczeń, który zdołałby dać konstrukcyjną zasadę wizji

artysty. Takie spłoszenie czy zagubienie widać „na powierzchni” (czy wkroczenie Armii Sowieckiej uznać za wyzwolenie czy za kolejną okupację — co ma nieobliczalne konsekwencje dla myślenia o tym, co się stało), ale wyczuwa się także „w głębi”: kiedy trzeba określić człowieka i człowieczeństwo, które przetrwało wojnę. Kim jestem i kim się czuję „po tym wszystkim” — na tego rodzaju pytania pisarz nie był w stanie odpowiedzieć, bo brakło jakiegokolwiek gruntu, na którym odpowiedź mogłaby zostać zbudowana. Nie chodzi o wyrażaną wprost filozofię, gotowy światopogląd czy wiarę. Chodzi o utracenie zdolności do porządkowania świata w myśl miar, które nosimy w sobie. Zawieszenie naszych sądów staje się w tym warunkach nieuchronne.

Stan zagubienia, niepewności, popłochu wewnętrznego, stwarza pokusę oddania prawdy „w inne ręce”, co w praktyce oznaczało przyzwolenie na „konieczność” polityczną, czyli na aprobatę reżimu. Nowy porządek rzeczy nie jest przeze mnie wybrany, ani przygotowany — i właśnie dlatego odnajduje w nim „twardą” zasadę słuszności.

Proces godzenia się z nim jest bolesny, nie przestaje być jednak jedyną drogą wyzbycia się niepewności. Taki jest fundament myślowy powieści *Papiół i diament* Andrzejewskiego. Istota tej powieści sprowadza się do przeświadczenia, że porządek sowiecki jest nieuchronny i nieodwołalny, że inne rozwiązanie rzeczy nie istnieje (jest mrzonką). To upolitycznienie wizji polegające na odrzuceniu jakiegokolwiek innej zasady konstruowania rzeczywistości, swoista redukcja wyobraźni (czyli po prostu władz duchowych) sprowadzająca sens świata do poziomu wyboru politycznego, świadoma rezygnacja z autonomii jako warunku kreacji — obudziły później niechęć i narastającą krytykę powieści. Lecz aby ta krytyka mogła dojrzeć, musiały obudzić się najpierw intuicja innej zasady wi-
Widzenia rzeczy, innych miar ludzi i spraw. Czego darmo szukać w literaturze krajowej lat powojennych, osaczonej niejako, czy zgoła sterroryzowanej przez nacoczność spraw polityki.

W moim głębokim przekonaniu powieść Aleksandra Ścibora-Rylskiego powtarza ten wzór, tzn. tak hierarchizuje znaczenia, że sens życia, świata, istnienia duchowego, zostaje sprowadzony do problemu: jak sobie dać radę z daremnością powstania skazanego na klęskę w obliczu polityki sowieckiej. Uznaje to pytanie za jedyne istotne, odrzuca jakiegokolwiek innych wymiarów rzeczy, ludzkich spraw i losów, owa redukcja wyobraźni (postaci są wyłącznie żołnierzami powstania i nikim innym, inne modele doznawania świata są z powieści ostentacyjnie usunięte) — czynią powieść bezradną wobec nieuchronności rozstrzygnięć politycznych. Na plan pierwszy wysuwa się heroizm strażników, szaleństwo niedojrzałości, tępa nieodpowiedzialność dowódców, wierność, którą traci miarę i staje się zaślepieniem. Ścibor-Rylski jest znakomitym narratorem i stworzył sceny prawdziwie wstrząsające — jak ów przemarsz źle uzbrojonych przez piekło, jak wywózka upokarzanych bohaterów. Cóż jednak mówią te sceny?

One mówią, że powstanie było szaleństwem. że wpędzało uczestników w pułapkę daremnej, czy zgoła bezsensownej ofiarności. że w końcu nie było innej drogi, jak szukać sposobów porozumienia, tj. szukać po tamtej, sowieckiej stronie racji słuszności. Powieść mówi, że klęska była nieuchronna, że w obliczu sowieckiej potęgi sukces był mrzonką. Powieść powtarza zatem struktury myślowe *Papiół i diamentu* (pojawia się w niej nawet pozytywny sekretarz partii), tyle że sugestia te wyostrza, radykalizuje, potęguje determinację powstańców, ich nieprzejednaną a niekiedy zaślepioną gotowość do oddania życia, podkreśla ich chłopcę i fanfaronadę, wreszcie boleje, że wierność do końca okazuje się pułapką politycznych prowokacji, gdzie zaczyna się zacierać granica wierności i zdrady. Ścibor-Rylski pisze „bez cenzora” i nie cofa się przed szyderstwem ze strażniczej fanfaronady, daje ostre obrazy perfidii i okrucieństwa bezpieki i NKWD, pisze jakby nasycony wszystkimi emocjami narodowej irredenty. Z wszelką pewnością znajdzie wdziercznego czytelnika. Jest w jego wizji i erotyczna inicjacja, jest kobieta-dziecko, kobieta-matka i kobieta-źródło rozkoszy. Jest to pisarz o niebywałym talencie dramatyzacji i suspensu, co daje powieści ogromne walory czytelnicze.

I może na tym uznaniu kunsztu narracyjnego wysokiej klasy, na podkreśleniu urzekającej naoczności scen i epizodów, wolałoby się zakończyć recenzję. Bo powieść nie przekracza jednak horyzontu literatury powojennej i — żeby to powiedzieć mocniej — powieść grzęźnie w urzeczaniach pokolenia Kolumbów i chce nas raz jeszcze poruszyć krzykiem o okrucieństwie wyroków historii wymierzonych pokoleniu. Czy ten sposób myślenia, ten najpiękniejszy i najszczerzejszy powtórzony apel poległych, może wystarczyć? Czy jest w stanie sprostać dalej idącym wymaganiom?

WŁODZIMIERZ MACIĄG

Zaproszenie do zabawy (literackiej)

Henryk Markiewicz: „Zabawy literackie”, Oficyna Literacka, Kraków 1992.

Od razu na wstępie trzeba powiedzieć, że *Zabawy literackie* Henryka Markiewicza to „normalna książka do czytania”, a tytuł jej wcale czytelnika nie zwodzi, ani nie zawodzi.

Zdanie powyższe może wyglądać na czysto retoryczne, beztreściowy truizm, bo niby po co są książki, jak nie do „normalnego czytania”? Ale otóż nie. Jest przecież mnóstwo wybitnych książek, które w istocie służą nie do czytania, lecz do studiowania — z ołówkiem, notatnikiem i pomocami encyklopedycznymi pod ręką. A w dodatku adresowane bywają wówczas do wąskich gron fachowców.

Do takich właśnie należy kilkanaście tomów uczonych rozpraw, studiów i kompendiów napisanych w minionym 40-leciu przez profesora Markiewicza, teoretyka i historyka literatury, jednego z najwybitniejszych obecnie literaturoznawców polskich. — *Główne problemy wiedzy*

o literaturze (5 wydań w latach 1965 — 1980), *Przekroje i zbliżenia* (1967), *Nowe przekroje i zbliżenia* (1974), połączone w 1976 w jeden tom, dalej: *Wymiary dzieła literackiego* (1984), *Polska nauka o literaturze* (1985), *Literaturoznawstwo i jego sąsiedztwa* (1989) i ostatnio *Teorie powieści za granicą* (I tom obszernego dzieła, nad którego dalszymi częściami autor pracuje) — to tylko kilka najważniejszych prac, bez których cała polska teoria literatury nie byłaby dziś tym, czym jest. A dochodzi do tego 10 opasłych tomów antologii cudzych, prac teoretycznoliterackich polskich i obcych, prezentujących bogatą panoramę współczesnych metod badania literatury. Jako historyk literatury zajmuje się Markiewicz głównie realizmem, co jego osobistej wrażliwości, racjonalistycznym i empirycznym inklinacjom najbardziej odpowiada. Wspomnę tylko, że jest on przecież autorem szczegółowego i syntetycznego kompendium akademickiego *pozytywizmu* (1977, 1979).

Nie są to bynajmniej żadne „literackie zabawy”. Są to efekty cierpliwych i żmudnych badań,

lektur tysięcy tekstów literackich i tysięcy wielojęzycznych tekstów naukowych; napisane klarownym i precyzyjnym, lecz rzeczowo chłodnym, przeładowanym erudycją i specjalistyczną terminologią językiem uczonego akademika (boć tak przecież profesorowi uniwersytetu, członkowi Akademii Nauk i Akademii Umiejętności pisać wypada). Bez wątpienia — samemu profesorowi prace te muszą sprawiać najwyższą radość i są zapewne dlań żywym źródłem prywatnej zabawy — o bardzo skądinąd poważnych zobowiązaniach i funkcjach społecznych.

Ale nie do takiej zabawy zaprasza nas ostatnia książka, która zresztą nie tylko profesjonalistom bierze pod uwagę jako potencjalnych jej uczestników, aczkolwiek ich jednak, filologów, w pierwszym rzędzie. Skoro literatura piękna ma z założenia sprawić czytelnikowi przyjemność, skoro można bezinteresownie ją pokochać, można również bezinteresownie nią się bawić, także (a może tym bardziej) gdy się jest znawcą, obcującym z nią na co dzień w niej jakieś zażyłości czy wręcz z poufałością. Z takiej akademickiej pozycji można się więc bawić i samą nauką o literaturze lub w nauce o literaturze. Z lekką pokpiwą i z samego siebie, i z uczonych kolegów, i z metod badawczych, stosowanych skądinąd i gdzie indziej z całą powagą i odpowiedzialnością.

Takie są, nie wyrażone wprost, utajone lecz oczywiste, założenia tej niezwykle i uroczej książeczki. Przyjaciele i najbliżsi uczniowie profesora znają od lat te jego dyskretnie ujawniane skłonności ludyczne: upodobanie w subtelnej ironii i autoironii, parodii i autoparodii, zamilowanie do paradoksów i gier słownych, inklinację do jakby mimowolnego wtrącania w tak rozważań i dyskusji frapujących anegdot i cytatów, do tworzenia na poczekaniu aforystycznych sformułowań, które w społeczności uniwersyteckiej przeskazywały się nieraz w „skrzydlate słowa”. Ale to w wąskim gronie. I oto książka, o której tu mowa, przedstawia taki właśnie wizerunek jej autora właściwie po raz pierwszy szerokiej publiczności literackiej.

Powiedźmy więc wreszcie, na czym polegają literackie zabawy, do których Markiewicz zaprasza obecnie i swoich dotychczasowych wiernych (acz niekiedy utrudzonych) czytelników, i — na równi z nimi — czytelników-nieprofesjonalistów. Są one urozmaicone i, by tak rzec, różnego kalibru, o zróżnicowanych strategiach ludycznych. Wskazówki podstawowej dostarcza sam autor w artykule *Literackie zabawy krakowskich uczonych*, gdzie mowa m.in. o J. M. Rektorze Stanisławie hrabim Tarnowskim, o Kazimierzu Piekarskim, erudycie i bibliofilu okresu międzywojennego, o Kazimierzu Wyce. Okazuje się z tego, że najulubieńszą zabawą wybitnych uczonych humanistów była parodia literacka, niekiedy o zacięciu satyrycznym i zgryźliwym, niekiedy dobrotliwie kpiarska, o raz patis, czasem także parodystyczny i prześmiewczy, czasem tylko bezinteresownie zabawy: przede wszystkim zaś parodie uczonych rozpraw, naukowych procedur i uniwersyteckich ceremoniałów.

Europejczykiem czasami bywając

JAKUB SOBIESKI: „Peregrynacja po Europie i Droga do Baden”.

Oprac. Józef Długosz, Ossolineum, Wrocław 1991.

Na rynku wydawniczym pojawia się imponująca ilość wspomnień osób, które w najnowszym historii Polski odegrały (i niejednokrotnie wciąż odgrywają) znaczącą rolę. Niezależnie od intencji, w jakiej były pisane, pozycje te mają wartość jako świadectwa czasów, w których żyjemy. Czując lekką przesyt natrętnie obecną (co zrozumiałe po latach przemilczeń) historią współczesną, można czasami sięgnąć do świadectw sprzed wieków.

Przeszło cztery stulecia temu, w roku 1590, urodził się syn wojewody lubelskiego, Marka Sobieskiego, Jakub. Miał on w swoim czasie dojść do wysokich godności w Rzeczypospolitej Obojga Narodów (zostając w końcu kasztelanem krakowskim). U schyłku XVI i w początkach XVII w. Sobiescy nie osiągnęli jeszcze takiego znaczenia jak w latach późniejszych, lecz ich przynależność do elity szlacheckiego społeczeństwa Rzeczypospolitej była niewątpliwa. Gwarantowały ją zamożność i odpowiednie parantele. Rodzina bardziej magnacka niż szlachecka, skoligacona z Oleśnickimi, Tęczyńskimi i Zebrzydowskimi, dbała o właściwe (czy: zgodne z powszechnym odczuciem tego, co właściwe) wychowanie potomstwa. Nie budzi zdziwienia, iż siedemnastoletni Jakub wyjechał dla dopełnienia edukacji w sześciolatnią, połączoną ze studiami, podróż po Europie. Przyszły „polski Demostenes”, który miał cieszyć się sławą wyśmienitego mówcy, studiował, zwiedzał, bawił się i obserwował — oraz prowadził notatki. Pod koniec życia, w roku 1642, przejrzał, uzupełnił i zredagował swoje zapiski, pstrząc je obficie określeniami typu „nieboszczyk”, „świętej pamięci”, „natenczas”, „teraźniejszy”, itp.

Opis owej peregrynacji — wraz z notatkami z odbytej w orszaku Władysława IV w 1638 podróży do Baden w dolnej Austrii — wydało ostatnio w opracowaniu JÓZEF DŁUGOSZA Ossolineum. Poprzednia, pierwsza, edycja *Peregrynacji*, pochodząca z 1833 roku, opracowana przez Edwarda Raczyńskiego zawierała wiele pomyłek, opuszczeń, przeinaczeń, źle odczytanych z rękopisu słów czy zdań — wykazuje to Józef Długosz, cytując sporo smakowitych przykładów. Z niedostatków XIX-wiecz-

nego wydania oraz z wartości wspomnień Sobieskiego historycy od dawna zdawali sobie sprawę. W obecnej edycji pominięto fragment *De statu Hispanico et de rebus hispanicis* (podając w przypisie tytuły rozdziałów) jako nie pochodzący od Sobieskiego — jedynie przetłumaczony przez młodego podróżnika na język polski, a będący dziełem jego anonimowego przyjaciela, Hiszpana. O decyzji niezamieszczenia owego tekstu informuje Józef Długosz we wstępie z lutego 1988 roku (książka ukazała się w 1991). Tymczasem ALOJZY SĄJKOWSKI w opublikowanych również w 1991 roku *Opowieściach misjonarzy, konkwistadorów, pielgrzymów i innych świata ciekawych* podaje, iż w obrębie cudzej relacji znalazły się wzmianki dotyczące własnych przeżyć Sobieskiego w Hiszpanii (jak uwagi na temat widzianych corrid). Sąjkowski pisze o edycji Raczyńskiego jako o jedynej istniejącej (koryzystał z rękopisu Biblioteki Kórnickiej). Czy w wypadku *De statu Hispanico* na pewno mamy do czynienia wyłącznie z przekładem? Może warto byłoby omówić obszerniej ten tekst, nie ograniczając się do podania tytułów rozdziałów.

Na podróże nie żałowano czasu ani pieniędzy. Stanowiły jeden z istotniejszych etapów zdobywania wykształcenia. Trasa peregrynacji Jakuba Sobieskiego, ilość przebytych przezeń kilometrów, odwiedzonych krajów i miast, różnorodność notowanych informacji, pilność wykazywana w nauce języków dowodzą, że młody panicz studia traktował poważnie.

Opracowany przez Józefa Długosza tekst interesujący jest dla współczesnego odbiorcy nie tylko ze względu na osobę autora, ale i na lata, w których powstał. Przełom XVI i XVII w. to czas wielkich zmian w Rzeczypospolitej, a przede wszystkim w mentalności jej obywateli.

Zygmunt III Waza, obrany królem w 1587 roku, był nie tylko pierwszym zasiadającym na tronie wielonarodowej i różnowerczej Rzeczypospolitej fanatykiem religijnym, ale i przynosił w wianie swemu królestwu — mówiąc słowami Jasienicy — *Kompleksy, mierne zdolności, nieprawdopodobny upór oraz ideologiczne tępo-głowie*.

Czterdzieści siedem lat dzieli proces arianina, który podeptał monstrancję w czasie procesji Bożego Ciała i proces przemawiającego ze stopni kościoła włoskiego protestanta Francusa de Franco. W pierwszym — zgodnie z sugestią obrońcy, kalwina, Mikołaja Reja z Nagłowic — uznano, że oskarżony winien zwrócić wartość zniszczonej kosztowności, a jeśli Bóg czuje się urażony — niech On wymierzy sprawiedliwość. W drugim — skazano niefortunnego kaznodzieję-amatora (protestującego przeciw oddawaniu czci boskiej opłatki) na śmierć, zgodnie z żądaniem m.in. Piotra Skargi. Wyrwano heretykowi język. Poćwiartowane ciało zawisło na pręgierzu. W owym czasie — w roku 1611 — Jakub Sobieski wybierał się w podróż po Hiszpanii...

Polacy odwiedzali Hiszpanię już w XIV i XV w. — przede wszystkim jako pielgrzymi. W XVI w. Hiszpanii coraz częściej przebywali dyplomaci i zamożni podróżnicy — jak Jan Tęczyński czy Stanisław Radziwiłł. W polskich bibliotekach pojawiły się hiszpańskie książki. Zygmunt III był szwagrem hiszpańskiej królowej Małgorzaty, żony Filipa III, co także sprzyjało rozbudzeniu zainteresowania tym dalekim krajem. Wiele istniało punktów wspólnych. Hiszpania była, a Polska pod rządami Wazów stawała się, krajem ultrakatolickim; oba państwa miały skłonność do uważania się za przedmurze chrześcijaństwa, z czym łączyło się niejednokrotnie pełne wyższości przekonanie o dziejowej misji... Kultura i obyczaje hiszpańskie ciekawiły Sarmatów (choć jednocześnie nie wzbudzała sympatii kojarzona z Hiszpanią inkwizycja). Dla katolika na Półwyspie Iberyjskim było wiele pięknych kościołów, relikwii i grobów świętych — z grobem św. Jakuba w Compostelli na czele, przez polskich pątników odwiedzanych już w XIV wieku.

Sobieski jest osobą o tyle dla swych czasów ciekawą i charakterystyczną, że — reprezentując nowy typ religijności — nie był jednocześnie człowiekiem ograniczonym umysłowo. Taszczył z sobą kilogramy poświęconych przez papieża różańców, medalików, przywiózł z podróży kilka „miar wzrostu” św. Marii Magdaleny, które znacznie pomagają białogłowym rodzącom, gdy się nimi opasują, a jednocześnie potrafił wątpić w pochodzenie hodowanych przy świątyni kur od cudownie zmartwychwstałego kuraka z

półmiska... Był to jednakże rzadki u magnackiego syna owej epoki przebysk zdrowego rozsądku. Raczej każe on nam wierzyć w opowieści o niedomiarach i dzień wznoszących (ze śpiewem) ku niebiosom pokutującą Marię Magdalenę aniołach... Bez zastrzeżeń podziwiał takie relikwie jak latarnia, z którą Judasz chodził zdradzić Zbawiciela, bryły ziemi krwią Chrystusa pokropione czy ampulka z olejem dla pomazańców bożych we Francji, którą z okazji koronacji Ludwika I miał przekazać z nieba sam Bóg. Przy tym nadziwić się nie może, że przez tak wiele lat aż do tych czasów nic z tej ampulki nie ubywa, pełno i teraz jest. Nie kryją się z nią Francuzowie, pokazują ją każdemu, kto jeno widzieć chce łacno — w to ostatnie i dzisiaj nietrudno uwierzyć.

Wśród krajów odwiedzanych przez synów magnackich i szlacheckich poczesne miejsce od XV stulecia zajmować zaczęły Włochy. Pomiędzy odwiedzanymi miastami królował Rzym; miejsce studiów i — a dla katolików nieraz przede wszystkim — pielgrzymek. Sobieski, pochodzący z rodziny katolickiej, człowiek w wierze gorliwy i wielką wagę do miejsc cudownych i relikwii przywiązujący, nie mógł w swej podróży pominąć ziemi włoskiej, którą poczytywał za *compendium wszystkiego chrześcijaństwa*. I jako powiadają o człowieku media, iż on jest *microcosmos*, to jest mały świat, tak mogą to napisać bezpiecznie, iż włoska ziemia w tym świecie jest mały świat. (...) I rozumiem, żeby każdemu, który porządnie peregrynacją odprawować chce, na samym ostatku trzeba widzieć włoską ziemię, bo co gdzie indziej oczom jeszcze i animuszowi nie dostawało, to znajdzie zawsze w włoskiej ziemi.

Spisujący obserwacje młodzian zwrócił uwagę na trwający jeden dzień w Francji bezkrólowie. Być może zazdrośnie westchnął. Nie był pozbawiony poczucia odpowiedzialności...

Jakub Sobieski, ojciec króla Jana III Sobieskiego, w pewnym okresie życia protektor osławionego później zdrajcy, a swego siostrzeńca, Hieronima Radziejewskiego, nie był też ani głupcem, ani fanatykiem. Bywał jednakże bliski jednego i drugiego. Część winy za to spada na czasy, w których się wychował. Jak napisał Jasienica na przełomie XVI i XVII w. *społeczność Rzeczypospolitej uległa nie jednej metamorfozie, lecz dwóm. Potomkowie ludzi politycznie trzeźwych i nieźle zdyscyplinowanych zaczęli się przetwarzać w stado pomyłonych warcholów. Zbiorowość, która cenila swobodę myśli i sumień, szybko wyrzekła się tolerancji. Popadła w fanatyzm. Cóż, straty zawsze się łatwo ponosi; trudno je tylko odrobić.*

JUSTYNA ZARZYCKA

(ciąg dalszy ze str. 8)

I właśnie parodia zajmuje w książce Markiewicza miejsce bardzo eksponowane, chociaż ilościowo skromne. Wybitny znawca wszelkich, najbardziej nowoczesnych i skomplikowanych metod literaturoznawstwa, ich badacz, komentator i popularyzator — potrafi równocześnie ukazać je w krzywym zwierciadle. Rozprawka pt. *Twórcza zdrada „Przyjaciół” Mickiewicza* (już w tytule tkwi dowcip, i to co najmniej dwupiętrowy), stanowiąca analizę znanej bajki o Leszku i Mieszk, przy pomocy straszliwie złożonych procedur badawczych wywodzących się ze strukturalizmu, semiotyki, etnologii, hermeneutyki itp. — jest nie tylko dobrotliwą drwiną z nadmiernych komplikacji metodologicznych współczesnej humanistyki, która w trakcie swoich badań traci z oczu ich przedmiot; jest także pewną delikatną autoparodią (boć przecież w dużej mierze za sprawą Markiewicza wszystkie te metody i meta-metody u nas się spopularyzowały). Z kolei tekścik pt. *Zamiast przemówienia jubileuszowego* (który profesor Markiewicz rzeczywiście wygłosił w gronie kolegów i uczniów na małym bankiecie uniwersyteckim z okazji 60-lecia Jego urodzin z miast podziękowania za laudacyjne toasty) jest burleskową parodią metod francuskiej semiologii z lat 60. i stanowi coś w rodzaju *prolegomenów do semiotycznej paradygmatyki jubileuszologii strukturalnej*, z aluzjami do paru konkretnych, modnych u nas wówczas prac francuskich (skądinąd z inicjatywy Markiewicza po części przełożonych we współredagowanym przez niego „Pamiętniku Literackim”).

A przecież nie znaczy to, że pokpiwając z lekką z procedur interpretacyjnych, które, wg znanego powiedzenia prof. Żółkiewskiego, przypominają przenoszenie talerza zupy przy pomocy dźwigu, Markiewicz chce je zdeprecjonować. Bynajmniej; chce siebie i nas zabawić, robiąc dowcip na temat tego, co mu bliskie. Oto prawdziwa sztuka zabawy.

Inna „strategia ludyczna”, leżąca u podstaw takich — ważnych skądinąd i pod wieloma względami poważnych — rozpraw, jak *Tytuły dzieł literackich*, z *dziesięciu plagiatów w Polsce*, *O polskiej literaturze z kluczem*, *Inna zabawa „Lalką”* — polega, z grubsza rzecz ujmując, na doprowadzeniu do skrajności, do samej granicy powagi (wzruszając bez jej przekraczania) zainteresowań i metod badawczych samego autora, z usposobienia (i wychowania akademickiego w szkole profesora Pigionia) empiyka i faktografu. Otóż w zawartości wymienionych przeze mnie na początku książek Markiewicza nie ma bodaj zagadnienia, nie ma metody badawczej, postawy metodologicznej, która nie dostalaby się w krąg wnikliwej uwagi autora i nie została wszechstronnie i krytycznie rozważona. Okazuje się wszelako, że pozostaje szereg problemów jak gdyby z marginesu, którymi dotąd (w każdym razie w Polsce) nikt się serio, wszechstronnie i syntetycznie nie zajmował — tak jak np. socjologowie badający modę i jej przemiany nie zajmują się raczej ilością dziurek w guzikach. Plagiat? Powieść z kluczem? Tytuły utworów? Czy w dobie najpierw panowania, a potem obalania strukturalizmu, w dobie ekspansji hermeneutyki, „filozofii dialogu”, dekonstrukcjonizmu — ambitny uczony literaturoznawca będzie miał odwagę przyznać, że kiedyś liczył dziurki u guzików? A Markiewicz robi to serio, nawet nieco przesadnie serio i szczegółowo; tropi, systematyzuje i kategoryalizuje związki postaci literackich z ich rzeczywistymi prototypami, drobne i poważne kradzieże oraz podejrzenia pożyczki literackie, gramatyczne kształty i znaczeniowe funkcje tytułów literackich, związki fragmentów narracji „Lalki” Prusa z wiadomościami zamieszczanymi na łamach ówczesnych gazet i czasopism.

Postępuje przy tym zupełnie tak samo, jak wówczas, gdy badał ewolucję poglądów na zagadnienie fikcji literackiej i realizmu, „dialektykę polskiego pozytywizmu”, struktury narracyjne, problematykę komunikacji literackiej, ewolucję i podziały gatunków literackich, strukturę wewnętrzną prądów i okresów literackich itd. Pedanteryjnie, skrzętnie, z o-

gromnym zmysłem porządkującym, bezwzględnie faktograficzną rzetelnością i precyzją (co mu zresztą nie przeszkadza wplatać w tok tego naukowego dyskursu mnóstwa frapujących ciekawostek i anegdot). A zatem czy jest to sztuka bezinteresownej zabawy uczonego, dla którego w jego dziedzinie najmniej ważny drobiazg jest ważny, tak jak dla entomologa najbardziej niepozorny chrząszczyk? Czy może z lekką i sztuką dyskretną karykatury (więc i poniekąd auto-karykatury)? A może — co najbardziej prawdopodobne — rodzaj wyzwania, prowokacji wobec współczesnej humanistyki, która na plan dalszy coraz bardziej odsuwa sam empiryczny przedmiot swoich badań, egocentrycznie zajęta doskonaleniem własnych metod i zapominająca często, czemu one mają służyć? — Myślę, że wszystko to po trochu naraz.

Jako efekt nieco innego rodzaju uczonej zabawy ujawniają się teraz w tej książce *Skrzydlate słowa*, obszerny, 1200 stron liczący, encyklopedyczny tom cytacji i porządków literackich, wydany przez Markiewicza (wraz z Andrzejem Romanowskim) w 1990 r. Książka bardzo ważna, w istotny sposób wzbogacająca naszą świadomość kulturalną. Okazuje się jednak, iż sama obserwacja, „jak słowem wyrastają skrzydła” (tytuł artykułu otwierającego *Zabawy*), samo szukanie korzeni i śledzenie dziejów tego, co automatycznie uznajemy za oczywistą i powszechną własność, może być dla uczonego samo przez się zabawą, do której pragnie wciągnąć czytelników. Zresztą, czyż nie bawimy się w ten sposób sami na co dzień zagadkami w rodzaju: „kto pierwszy to powiedział?”, „z czego to cytat?” itp.

Sezon literacki, którego nie było to znów inny rodzaj zabawy — w hipotezy literackiej: jak na podstawie dostępnych historycznoliterackich

danych moglibyśmy sobie wyobrazić kształt literatury polskiej po 39 roku, gdyby wojna nie przerwała naturalnego procesu rozwojowego kultury narodowej? Pozorna zabawa w „gdybanie” przekształca się niemal niezauważalnie pod piórem Markiewicza w ważne zagadnienie ciągłości literatury, i kwestię jej podziału na okresy każe ustawić w nowym świetle. Zabawy Markiewicza mają często bardzo poważne cele i konsekwencje...

I wreszcie — jako aranżer zabawy okazuje się Markiewicz znakomitym, pełnym wdzięku i literackiej swobody narratorem. Czy to wówczas, gdy — trzymając się ściśle faktów — tworzy właściwie artystyczne opowiadanie o Kraszewskim w Wiedniu i jego wiedeńskim romansie, ostatniej miłości starego pisarza; czy to wówczas, gdy — po raz pierwszy bodaj publicznie — opowiada o sobie samym, od lat dzieciństwa poczynając. A opowiada frapująco i z niesłychaną przy tym skromnością, choć skądinąd i — z literackiego punktu widzenia — nieco przewrotnie, a mianowicie przedstawia dzieje kompletowanej przez siebie prywatnej biblioteki, od pierwszej swej książki poczynając, a na księgozbiorze liczącym 50 tysięcy tomów kończąc; w ostatnim zaś zdaniu książki określa tę bibliotekę jako „najlepsze dzieło naukowe swego życia”. I to bez odrobiny kokieterii.

Takim przedstawia sam siebie u progu 70-lecia własnych urodzin. Ta puenta *Zabaw literackich* tyleż jest wyrazem autentycznej skromności profesora, ile jeszcze jednym — nie zamierzonym już w żaden sposób przez autora — elementem zabawowym, dowcipem po prostu. Choćby już z tego powodu, że to przecież książki przez niego napisane zamieszkują i ozdabiają nasze własne naukowe biblioteki.

STANISŁAW BALBUS



Europejski Miesiąc Kultury

Nie chcę iść do Europy. Teatralny przegląd zaprezentowany w ramach Europejskiego Miesiąca Kultury przekonał mnie, że nie warto i że nie ma właściwie żadnego powodu. W Europie reżyszer STUHR, PESZEK, SZCZYKNO, GRZEGORZEWSKI, BARANOWSKI, WORON, MICH. Po Europie wędrują GARDZIENICE, TEATR ÓSMEGO DNIA. W Europie grają przede wszystkim Witkacego i Schulza. Najpopularniejszym traktatem jest *Traktat o manekinach*, co niewątpliwie wprawia w zachwyt Europejczyka JERZEGO JARZĘBSKIEGO. Europejskie są PANTOMIMA TOMASZEWSKIEGO, JAROCKI, KALIŃSKA I PAMPIGLIONE, piosenkarka BEATA FUDALEJ, JERZY TRELA — reżyser, KRZYSZTOF JASIŃSKI — reżyser, JÓZEF OPALSKI — reżyser, baler Teatru Wielkiego z Warszawy. Już z tego pobieżnego spisu artystów europejskich wynika jasno, że do Europy iść nie muszę, bo wszystkich tych artystów znam lepiej lub gorzej. Nie muszę mieć żadnych kompleksów, no, chyba, żebym konieczności chciała. Na przykład BROOK przywiózł do Krakowa *Mahabharatę*, której nie znałam nawet w wersji filmowej, nie przywiózł za to

uczą Europę grać Joyce'a, odkrywając Niemcom tajniki awangardy, zwłaszcza tej spod znaku ekspresjonizmu lekko i gustownie uatrakcyjnionego KANTOREM. Konfekt i to wcale nie wiosenna, a ciężka, rocznicowa. Nie tak dawno minął ROK WITKACEGO, szkolzowskie rocznice świeżutkie, okraglutkie. Wystarczy aby grać, kompletować rocznicowe albumy z wszystkimi artystycznymi dokonaniami. Niestety nie wystarczy, aby oglądać. A z obejrzanego w męce nie wynika nic więcej niż rewia pomysłów sztubacko odpisanych od Kantora, martwych jarmarcznych stylizacji. Zdumiewała pycha demiurgów czytających słowniki mitów i tradycji, układających lekką ręką symboliczne figury z aktorów zamienionych w plastyczne znaki. Taniec śmierci lub brodenie w wielkiej wodzie, bo woda jak powiada Kopaliński to chaos, zmienność, bezmiar możliwości, źródło życia, odródkzenie ducha, zmartwychwstanie, potęga, płodność, niebezpieczeństwo śmierci. Woda może być wszystkim. I woda jest wszystkim. A woda zmieszana z mlekiem symbolizujących na odmianę eliksir życia, nieśmiertelność, miłość, spermę, obfitość — tak pięknie wygląda i jeszcze bardziej może być wszystkim.

ności warsztatowej. Tym bardziej na europejskiej scenie. Ani sympatia dla zafascynowanych polskością cudzoziemskich twórców, ani wdzięczność dla instytucji-sponsorów, ani patriotyczny obowiązek odnotowania naszych sukcesów za granicą nie usprawiedliwiają nagromadzenia tej ilości przedstawień zbędnych i nieistotnych. A chyba nie o jeszcze jedną ceremonię ku czci chodziło i nie o belferską pełnię czy reprezentatywność „spisu”. Myślę, że nie dość jasne było i to, kto komu ma się prezentować i za co: my Europie, Europa nam? Kto kogo ma lansować, promować. Zwyciężył teatralny polakocentryzm, czyli Narodowa Megalomania. Obawiam się, że nie tylko teatralna. Doprawdy, mało brakowało, aby „Miesiąc” stał się festiwalem dla teatrologów-masochistów, czysto środowiskowym i nieco ponurym świętem przedstawień-atrap. Trudno domyślić się, co poza podsygnięciem aliansów polsko-francuskich i polsko-niemieckich miało wynikać z udręki widzów skazanych na zimne i zaledwie poprawne przedstawienie *Milosza* (COMPAGNIE LAURENT TERZIEFF — LUCERNAIRE-FORUM, Paryż)? Satysfakcja, że i na Zachodzie u-

Precyzyjny podział na uczucia wysokie (Alkmena, Jupiter, Amfitrion) i niskie (Charis, Merkury, Soja) znajdował odbicie w hieratyczności i wytworności, grubiańskości i trywialności gestu, głosu, miki, stroju. Z tych wyraziście określonych różnic reżyser zbudował świat miłosnych teatrów: komedii i dramatów, tajemnic i oczywistości. Bóg i człowiek, pan i sługa, dama i służebna są podobnie bezradni wobec miłosnych cierpień i podejrzeń. Znajdują tylko inny język, inną ekspresję, aby je ujawnić... ukryć. Alkmena JUTTY LAMPE czyteluje miłosną retorykę i pograża się coraz głębiej w miłosnej pasji. Boleje nad kruchością wierności niezdolnej do przeciwstawienia się silniejszej od niej boskiej namiętności. Podejrzewa podstęp i musi? pragnie? go nie zauważyć. Równie mocno pożąda szlachetności i delikatności, co pragnie zaspokoić miłość własną i namiętność. Rozmawia właściwie nie z Bogiem, i nie z Mężem, a z sobą samą, ze swoim strachem i pragnieniem. Ta Alkmena nigdy do końca nie pogodzi się z nieuniknioną miłosną przemocą i nigdy się jej nie wyrzeknie. Jej kobieca intuicja pojedna etykę z biologią, przemieni upadek w tryumf. Nie będzie komentować boskich wyroków, przemilczy o-

NIE CHCĘ IŚĆ DO EUROPY

Małgorzata Ruda

Burzy i słusznie, wiem z recenzji, że nie-dobra. Wystarczy mi więc ta z Teatru im. Słowackiego. Też w końcu europejski spektakl. A epizody z paryskiej *Burzy* pokazane w czasie dnia Brooka przekonały mnie, że poza olśniewającą ekspresją ciała jest ona przede wszystkim spektaklem o pokonywaniu pułapek fonetycznych w niewątpliwie trudnym języku francuskim. My, Europejczycy środkowoeuropejscy z powodu braku pieniędzy orientujemy się w sztuce błyskawicznie, nie musimy oglądać całych spektakli: wystarczy nam scenki, warsztat zdobywamy oglądając wideo lub obcując z mistrzami duchowo.

II

Pisanie o Europejskim Miesiącu Kultury jest, prawdę powiedziawszy, zajęciem dość jałowym, jeśli sukcesem stało się już to, że miesiąc mógł się w ogóle odbyć i w dodatku, o szczęście niewymowne, „budżet wytrzymał” i „jakoś udało nam się te klocki poukładać”. Radość z poukładania klocków oczywiście nie należy burzyć bez poważnej przyczyny. Nietaktem jest dowodzić, że igrzyska robiły na mnie przykre wrażenie maratonu rozgrywanego nie na olimpijskim stadionie, a w dusznych i nieprzystosowanych do tego celu salach. Zaduch i smród znoszony w imię stygmatu europejskości jest cierpieniem wstydlivym, acz niewątpliwie podnoszącym naszą wartość intelektualną w oczach Zachodu. Brak bazy wszak wciąż można składać na karb komunistycznego dziedzictwa. Gorzej z brakiem wyobraźni i gustu. Oglądanie spektakli teatralnych w przepoconych salach Sokoła, Rotundy, Groteski, PWST było koszmarem wywołanym nie tyle dziurą ozonową i brakiem klimatyzacji, co przede wszystkim poziomem dzieł. Miałam wrażenie jakby jednym powodem ich nadmiaru było naiwne przeświadczenie, że ilość automatycznie przechodzi w jakość. Albo pedanteria belfra lubiącego się w wykoncypowanym nadmiarze. Spotkania ze spektaklami stanowiły martwy ciąg dalszy naukowych sesji, przypominały odrabianie matematycznych zadań wdrażających w opanowywanie wzorów. Najpierw uczymy się wszystkiego o WITKACYM w Teatrze Współczesnym, potem poznajemy tajniki adaptacji SCHULZA, robimy powtórkę z GRZEGORZEWSKIEGO (*Powolne ciemnienie malowideł*, *Miasto liczy psie nosy*, *Tak zwana ludzkość w obłędzie*) i kiedy dojdziemy do BARANOWSKIEGO transformującego JOYCE'A, to jesteśmy już w pełni europejskimi widzami teatralnymi. Pękamy z dumy, bo nasi opanowali Berlin i Rzym,

HENRYK BARANOWSKI przetwarza *Uliksesa*, snuje fantazje biograficzne i nade wszystko dba, aby rzecz prezentowała się pięknie, symbolicznie i archetypicznie. Nie trzeba słuchać, afabularność zwalnia i od czucia, i od myślenia. Woda i słownik symboli zapewniają głębokość, aktorki wyglądają pięknie, aktorzy tragicznie, groteskowo i dziwnie, dla pragnących logicznych wyjaśnień i kategorizacji ozdobna senność litościwie podsuwa etykietkę oniryczności. Europa jest ładna i efektowna.

Może nie należało marnować aż tygodnia, aby udowodnić, że Witkacy jest kiepskim dramaturgiem, kiepskim historiozofem i nie najgorszym sędzią współczesnej kultury, że Schulza adaptować, być może, w ogóle nie należy, a tym bardziej źle. Zrodzona nie tak dawno maniera wspierania dramatów Witkacego konstrukcjami wypracowanymi przez inscenizatorów z innych tekstów autora *Nienasyconia* przypomina produkcję soku wielowocowego. Żaden z tematów dramatycznych nie miał własnego smaku. Postacie z reguły recytowały bezkonfliktowo ideologiczne monolog. Znak firmowy Witkacy gwarantował wszystko: i zagładę indywidualności, i kryzys kultury, i koniec świata. Wszystko w niestrainnych powtórzeniach wedle receptury zalecającej tępic surowo dramat i preferować zabawne paradoksy. Witkacy stał się więc autorem kabaretowym. Rozbicie struktury dramatu, zmultiplikowanie go, uśmierciło indywidualnego bohatera, eksponując sprowadzony do nieszkodliwego frazesu problem. W ten sposób otworzono Witkacemu drogę do kabaretu, gdzie jak wiadomo najłatwiej o czystą formę i zanik uczuć metafizycznych. Królowała rewia w efektownych kostiumach — jak w *Zielonej pigułce* (reż. G. Pampiglione). Głównym i jedynym poważnym problemem okazywało się narkotyczne oszołomienie, głód używki, czasem — erotyczne niespełnienie. Najczęściej problemy światopoglądowe załatwiano aktorskim grypsem (tak w przedstawieniach szkół teatralnych); ogólnie było wesoło i przyjemnie.

Inaczej niż na spektaklach szkolzowskich, gdzie demiurgiczność reżyserii pozwalała tylko na upojne muzyczne passusy. Obowiązywała ściśle poetyka Grand Guignolu, gabinetu osobliwości i anomalii fizycznej; pejzaż mógł przypominać albo Kantora, albo wyspiśko śmieci. Znać, no to... Recepta renomowanego artysty musi się sprawdzić. Fakt, że tak się teraz gra Witkacego i Schulza nie przestanie być oczywiście faktem, ale nie usprawiedliwia on bynajmniej wystawiania kapliczek dla bezmyślności i pokracz-

prawiają metafizykę w teatrze siadając w pół blasku reflektorów na krzesłach i zawile kwiląc w takt muzyki odpowiednio podniosłej o Bogu, samotności, dzieciństwie, śmierci, kosmosie i Konieczności Życia Mimo Grozy Wszechświata? Budująca świadomość, że nie tylko u nas niszczą poezję i z wielkiej literatury robią filozofujące czytanki dla dzieci? Czy rzeczywiście, aby dowiedzieć, że i na Zachodzie prostotę mylą z niezarnością, a patos z poezją należało pokazywać w ramach „Miesiąca” pozbawioną wyobraźni teatralnej i aktorskich indywidualności *Konferencję ptaków* (NATIONALTHEATER, Mannheim)?

III

Europejski prestiż teatralnego przeglądu „Miesiąca” ratowały spektakle wrocławskiej PANTOMIMY, TEATRU ÓSMEGO DNIA i SCHAUBÜHNE AM LEHNHNER PLAZ. Za przepustkę do europejskości służyły im proste cnoty celowości i sensowności środków wyrazu. Dzięki tym podstawowym, rzecz można, kardynalnym w teatrze cnotom spotkał się z twórcami nareszcie w świecie dramatu prawdziwego, a nie urojonego.

Wystarczy perfekcja rzemiosła, wystarczy skupienie na akcie opowiadania, powaga w traktowaniu widza, któremu chce się przekazać choćby okruszek jakiejś rzeczywistości i oto osnowa, materia dramatu-przedstawienia może stać się historią mityczną i historią dopiero zmieniającą się w mit. Można opowiedzieć współcześnie o zdradzie Alkmeny. Można opowiedzieć uniwersalną historię wewnętrzną Polaków urodzonych w Europie tuż po wojnie. Jeśli się mówić będzie własnym językiem, patrzeć własnymi oczyma, myśleć własnymi myślami, a nie obowiązującą sztampą inscenizacyjną. Recepta na europejskość jest złudnie łatwa. Albowiem najtrudniej o te właśnie zalety.

KLAS MICHAEL GRÜBER wybrał drogę dość karkołomną: zabawa teatralnością w *Amphitryonie* KLEISTA.

Tragikomedie z wyeksponowanym motywem teatru! Zabawy kurtyny, reflektorem-księżycem, wspinaczkami na ściany scenicznej rampy, nieomal nieustający „wieczny” ruch obrotowej sceny, elementy jawnie uwspółcześniające i teatralizujące kostium — wszystko to mogło zamienić poetycką sztukę w trudny do strawienia popis inscenizatora. Grüber bawił się jednak teatralnością nie ze strachu przed anachronicznością Kleistowskiego dramatu o zdradzie i lojalności. Mnożył znaki teatralności tylko po to, by najprawdopodobniej opowiedzieć o utajonym w sercu ludzkim pragnieniu wierności i wiecznym pożądaniu wiodącym ku zdradzie, o tym, co jawne, i o tym, co w teatrze uczuć pozostanie na zawsze tajemnicą.

szustwo i przyjmie dziecko jako podwójny dar — owoc miłości i oszustwa, upadku i wyróżnienia.

W Kleście odnalazł Grüber podstawowy dramat człowieczeństwa: konflikt instynktu i etyki. Teatr miłości pokazał bez sentymentalizmu, ironicznie ale i bez lęku przed komizmem i tragizmem.

Ziemia niczyja Teatru Ósmego Dnia (reż. LECH RACZAK, scenariusz, teksty i scenografia Zespół) jest ziemią emigracji. Najpierw wydaje się rajem, a potem zmienia w piekło po drugiej stronie granicy, muru, krat. A jednak to ziemia wymarzona i upragniona, ziemia wybawienia od innej ziemi, od tej, w którą się wrosła, żywiąc się wszystkimi miazmatami politycznej paranoi, zbrodni, głupoty. Ziemia niczyja pokolenia „Ósemek” rozciąga się więc po obu stronach muru, kurtyny, granicy. Ale przekonać się o tym można tylko przemierzając obie przestrzenie, oba więzienia. Więc dążą do niej przemysłowymi groteskowymi wehikułami z dziecięcymi marzeniami o wielkiej przygodzie. Przepływają oceany i niebieskie przestworza... Osiągają tę ziemię w ekstazie nieomal miłosnej i staje się ona jeszcze jedną ziemią niewoli. Będą tam eksponatami w muzeum osobliwości, znowu niczyi, wyzuci z praw i nieprzystosowani. Więc burza mury, więc wracają do siebie, do domu. Przez okno, znowu pod sztandarami, wśród tworzącego nową ideologię wrzasku i demagogicznego głupstwa. Z nowym wodzem w sutannie. Dziecięce marzenia o ucieczce ostatecznej i udanej wawiesza w tej groteskowej scenarii liryczny balon. Znowu mogą ulecieć w przestworza, oswajając ziemię Nowej Nadziei? Już nie najmłodsi. Pokonani? Dość silni, by walczyć nadal z ziemią niczyją? Znowu zrobiono z nich balona? Znowu zmuszeni do marzeń? Nałogowcy, szaleńcy, skazańcy, nieszczęśliwi szczęśliwcy, którym do końca dana będzie łaska i przekleństwo buntu.

Ten spektakl jest zapisem i świadectwem przygody duchowej konkretnego pokolenia. Ich pokolenia. Ale „Ósemki” opowiadają o sobie dla innych — dlatego ta partykularna historia staje się czymś więcej niż stronką z historii Polski. Jest zapisem poszukiwania prawdy jednostkowej i powszechnej.

Tym ciekawsze wydaje się zderzenie tego tak bardzo szczerzego i osobistego spektaklu-wyznania z *Żywotem protopopu Awakuma* i *Carmina Burana* (Gardzienice, przedstawienia WŁODZIMIERZA STANIEWSKIEGO) „etno-oratoriami” oferującymi furie sztuki i — może, tego nie jestem już pewna — furie życia. Wszystko zawieszono w jakimś beczasie, analizując „wieczne” idee Wschodu i Zachodu. Aktorzy GARDZIENIC demonstrowali nienaganną emisję głosu, nienaganną sprawność ciała, godną pozazdrośczenia kondycję, która pozwalała im szeptać, krzyczeć, mówić, w każdym tempie, w każdej pozycji. To był

(dokończenie str. 11)

KSIAŻKI NADESŁANE

WYDAWNICTWO LITERACKIE

JERZY WYROZUMSKI: „DZIEJE KRAKOWA. Kraków do schyłku wieków średnich” (Tom 1), Kraków 1992.

Długo oczekiwany pierwszy tom dziejów Krakowa (tomy 2. i 3. ukazały się kilka lat temu), obejmujący historię królewskiego miasta od czasów przedlokacyjnych do schyłku średniowiecza.

BOŻENA MADRA-SHALLCROSS: „DOM ROMANTYCZNEGO ARTYSTY”, Kraków 1992.

Kolejny interesujący tom cennej Biblioteki Romantycznej pod redakcją Marii Janion.

„Domy dziewiętnastego stulecia, będące treścią tamtejszego życia i stamtąd przechodzące do literatury, rzeczywiste budynki, do których można było wejść, rozejrzeć się, usiąść — przyciągały tamtych ludzi, gdy były powiązane z głównymi nazwiskami, ze znaną twórczością, gdy po prostu były mieszkaniem ludzi wielkich”.

WANDA MIŁASZEWSKA: „ZATRZYMANE ZEGAR”, Kraków 1992.

Nowy tom prozy popularnej w okresie międzywojennym autorki ukazujący się w serii *Klasyki dla każdego* — gorzka historia nie spełnionej miłości, a przy tym subtelny traktat o nieubłaganym upływie czasu.

„VIDI 92. PORADNIK VIDEO” pod redakcją OSKARA SOBANSKIEGO, Kraków 1992.

Rozmiary poradnika dostosowane są do potrzeb wybrednego klienta wypożyczalni, który gubi się wśród tysięcy propozycji — ta zawiera ich 300 i wszystkie już są dostępne na polskim rynku. Książka przedstawia filmy dla dzieci i dorosłych w 10 działach.

CARLOS FUENTES: „STARY GRINGO”, przeł. Danuta Rycerz, Kraków 1992.

Fuentes przedstawia losy swego północnoamerykańskiego kolegi po piórze, Ambrose'a Bierce'a, uzupełniając dane historyczne twórcami własnej inwencji. Bierce — jako bohater powieści — przybył do Meksyku po to, by zginąć śmiercią, jaka przystoi mężczyźnie. Powieść *Stary gringo* posłużyła za kanwę filmu pod tym samym tytułem (z Jane Fonda i Gregory Peckiem), który gościł już na ekranach kin polskich.

ANDRÉ BRINK: „CHWILA NA WIETRZIE”, przeł. Magdalena Konikowska, Kraków 1992.

André Brink jest współczesnym pisarzem południowoafrykańskim, od lat prześladowanym w kraju za swe antyrasistowskie przekonania. Jak każda z jego powieści, jest *Chwila na wietrze* oskarżeniem apartheidu, głosem w walce o równouprawnienie czarnych. Jednak o jej wartości nie stanowi wyłącznie wymiar polityczny czy społeczny. Izolując swoich bohaterów od świata i cywilizacji oraz skazując ich na wspólną egzystencję w niezwykle trudnych warunkach, Brink stara się dociec prawdy o naturze człowieka — odkryć i rozszyfrować jej tajemnice.

MAURICE DRUON: „ALEKSANDER WIELKI”, przeł. Anna Jędrzychowska, Kraków 1992.

Aleksander Wielki należy do najlepszych współczesnych książek poświęconych fascynującej postaci antycznego monarchy. Do dnia dzisiejszego utwór Druona doczekał się szeregu wznowień i tłumaczeń na wiele języków.

Maurice Druon, dobrze znany już polskim czytelnikom autor *Królów przeklętych*, wykorzystuje i w tym utworze swe rzetelne przygotowanie historyczne oraz doskonały warsztat pisarski, starając się dać wyjaśnienie wielu zagadkowych okoliczności życia wielkiego Macedończyka. O ostatniej tajemnicy — miejscu grobu Aleksandra — pisze w swym załączonym do książki eseju profesor Kazimierz Michałowski.

LIST z Anglii

Kościotrup figuruje w sztuce zachodniej od wczesnego średniowiecza, stanowiąc symbol śmierci, nie-trwałości ciała, a również — paradoksalnie — życia pozagrobowego. Bo kościotrup często bywa w sztuce obdarzany ironiczną żywotnością: wypelza z trumien, tańczy, a nawet uczestniczy w miłosnych igraszkach.

W londyńskim MUSEUM OF MANKIND (Muzeum Człowieka, lub jak kto woli ludzkości) otwarto wystawę po-

Meksykanki wiedzą, że umarli nie mogą jeść słodczy, ani wdziawać odzieży; sądzą jednak, że duchy zmarłych muskają pocałunkami te dary pozostawiając je rodzinie, która gromadzi się przy stołach i małych ołtarzykach w domach, w ogrodach i na cmentarzach.

Tradycja ta nie jest jednolita i podlega regionalnym różnicom zależnie od typu materiału czy lokalnych zwyczajów. Królów wszędzie roześmianych kościotrup — czasem w koronie królewskiej lub w mitrze biskupiej, czasem tańczących z czerwonym diablem o złożonych rogach, czasem ukazanych na cwałującym przez powietrze czarnym rumaku. Niekiedy kościotrup pojawia się w postaci wystrojonej damy w kapeluszu z piórami zwanej Catrina, wymyślonej przez popularnego ilust-

Meksykańskie Zaduszki w Museum of Mankind

Stanisław Frenkiel

święconą meksykańskiemu kultowi śmierci uwidocznionemu w jesiennym festiwalu Dnia Zadusznego i Wszystkich Świętych. W Meksyku kult śmierci ma charakter pozareligijny i jest syntezą dawnych wierzeń sprzed podboju hiszpańskiego oraz wysublimowanej makabry hiszpańskiego baroku. Dziwne to skojarzenie krwawych rytuałów barbarzyńskich i popularnej mitologii chrześcijańskiej sprawia, że śmierć ukazana bywa w aureoli i obdarzana tytułem Przenajświętszej Śmierci, co łączy w sobie tradycję święta zmarłych i Wszystkich Świętych, kiedy to w Meksyku przygotowuje się ofiary dla umarłych, wierząc, że przychodzą oni z zaświatów na krótki czas w odwiedziny do rodzin. Stoły obficie zastawione, nowa odzież, słodczyce i pięknie dekorowane, lukrowane trupy czaszki, miniaturowe trumienki, płaczące laleczki i pomarańczowe kwiaty przypominające astry.

ratora Jose Posadę, który wprowadził kościotrupa do karykatury politycznej i obyczajowej. Figury te sporządzone są z gipsu lub z masy papierowej i pomalowane na jaskrawe kolory — białe, różowe, fioletowe, a wszystko obramowane wycinkami o rokokowych floresach i zakrętasach. W niektórych rejonach obfitujących w glinę sporządza się wyrafinowane konstrukcje w kształcie rozgałęzionych drzew, na których widnieją symboliczne figurki, fotografie zmarłych i wizerunki świętych z Panem Jezusem i Matką Boską w tradycyjnie ułożonych wyobrażeniach. Czasami pojawiają się laleczki płaczących dzieci z rączkami ocierającymi łezki. Są to odległe echa klasycznych i średniowiecznych płatek. W Meksyku nie ma modłów za zmarłe dzieci, ponieważ są one bezgrzeszne i dostają się do nieba bez orędowania żywych. Często ukazywane są w trumienkach jako aniołki (Angelitos).

Festiwal nie trwa długo. Figurki łatwo się niszczą, a rzemieślnicy rychło zabiorą się do nowej produkcji potrzebnej na przyszłą jesień. Na Polakach wychowanych na jasełkach i Cepelii sztuka ta nie robi wrażenia czegoś całkowicie obcego. Podobne są gliniane figurki, podobne wycinanki i złocenia, sama jednak ikonografia jest zupełnie odmienna. Polska sztuka ludowa dawno przestała być dramatyczna, unika wszelkiej makabry i grozy, a jedyny kościotrup to śmierć w jasełkach lub diabeł u boku św. Mikołaja. W polskiej sztuce ludowej dramat rozchodzi się po kościach, a sztuka ta nie jest niczym więcej jak dekoracją, po którą sięga kulturalne środowisko mieszczańskie. Bez żadnego straszenia, bez żadnej grozy.

W Meksyku śmierć jest zjawiskiem dużo bardziej codziennym ze względu na olbrzymią śmiertelność w ludzkich kotłowniach o niepohamowanej rozrodczości i nikłej opiece społecznej. Na skutek tego śmierć staje się wiernym towarzyszem, niemal — wesołym przyjacielem; a równocześnie świętą postacią, którą należy czcić i szanować. Jest to śmierć uśmiechnięta choć szorstka i nieubłagana, i prawdziwie demokratyczna, czekająca cierpliwie zarówno na każdego wieśniaka i robotnika, jak i na biskupa, generała czy bohatera bandytę.

Wystawa jest wielkim widowiskiem. Jest sztuką prawdziwie ludową lekko jedynie zatrutą przez komercjalizm i kicz napływający ze Stanów Zjednoczonych. Jest też sztuką prawdziwie warsztatową, produkowaną w ośrodkach wiejskich, wiernych swym podwójnym korzeniom: historii Kościoła i królestwa Montezumy.

SINGER mój i wasz

Zbigniew Włodzimierz Fronczek

W podbłogorajskich wsiach: w Książpolu, Biszczu, Osuchach opowiadają, że wśród nadtańwiankich łąk, nocami, można dojrzeć nikiel światelko. Starzy ludzie nie mają wątpliwości: to naftowa lampa. Przyswieca nią ponoć duch żydowskiego geometry. Czegoż tam sztuka? Zmaga się nieustannie z mierniczym zadaniem. Według miejscowej legendy, pewien geometra popełnił omyłkę w pomiarach łąk. Nie zdążył naprawić, któregoś dnia spadł z wozu i zmarł przedwcześnie. Duch owego nieszczęsnika usiłuje wyrugować błąd.

Wiele opowiadań Isaaca Bashevisa Singera rozgrywa się w tamtych okolicach. W Goraju, Tarnigródzie. Ten Tarnigród to chyba lubelski Tarnogród, bo do jakiegóż Tarnigródu można się kolebać z Lublina całą noc furmanką? W opowiadaniu *Hotel*, które choć rozgrywa się na końcu świata, bo w Nowym Jorku, to jeden z bohaterów nosi znane mi nazwisko. Israel Dancynger. Opisany jest jako schorowany, niemłody mężczyzna. To mniej istotne. Intrygujące, dla mnie intrygujące, jest brzmienie nazwiska. Tak miał się nazywać ów nieszczęsnny żydowski geometra.

Singer otrzymał Nagrodę Nobla w roku 1978. Wystosowałem wówczas do laureata list. Nie kryłem swej radości. Byliśmy chyba sobie w jakiś sposób bliscy. Zachwycali nas te same miejsca i krajobrazy. Niebawem nadeszła odpowiedź. Ucieszyłem się, ale i odrobinę zdumiałem. Tak, podejrzewałem, że Ameryka i Singer nie istnieją.

Po lekturze kilku książek stworzyłem sobie obraz pisarza. Był kimś, kto wierzy w duchy, zjawy i jest pobłażliwy dla ludzkich słabości. Obcowanie z duchami pasjonuje mnie nie od dziś, pobłażanie bliźnim też wydaje mi się niezwykle. A literatura, jego powieści, opowiadania? Podziwiałem zwłaszcza jedną pisarską umiejętność. Ujawniał, ukonkretniał to, co drzemało w ludziach ukryte, im zaś samym wydawało się niedostępne dla

innych. Znał więc ich myśli? Więcej. Znał ich dusze. Wiedział więc o ich pragnieniach, obawach, także lękach.

Jarosław Marek Rymkiewicz w swej znakomitej książce *Rozmowy polskie latem 1983 roku* wyznał, iż Singer pisze tak, jakby przed nim nikt nie zajmował się pisanie książek. Zapamiętałem tę uwagę.

W *Sztukmistrzu z Lublina* przeczytałem, że Jasza Mazur jeździł do Warszawy z Lublina przez Piaski. Do Warszawy przez Piaski? A co za różnica dla kogoś, kto rzecz pisał w Nowym Jorku? Zgoda. Ale biedny Żyd, na którego podartych sandałach osiadał kurz i pył ze ścieżek i ulic krasnostawskich czy izbickich, zawołałby mało pobłażliwie: „Hi, panie Isaac, do Warszawy przez Piaski? Z Lublina? Hihhi. Czemu nie przez Kraków?”

Kiedy rozdawałem przyjaciółom swą książkę *Złoto Błogoraja* pomyślałem o Singercie. To w Błogoraju, gdzie jego dziadek był rabinem, przebywał w czasie pierwszej wojny, a później, już w odrodzonej Polsce, spędzał wakacje. Wstałem więc swoje *Złoto Błogoraja* do Ameryki. Parę miesięcy później otrzymałem od Singera napisaną w jidysz *Shoshę*. Z tajemniczego listu przytoczę dziś fragment. *Myślę, że będzie Pan wiedział, co zrobić z tą książką po mojej śmierci* — pisał do mnie osiemdziesięciosiemnioletni wówczas pisarz.

Wtedy nie wiedziałem. W lipcu 1991 roku, po Jego śmierci, zacząłem się domyślać. Czynnikiem egzekutorem swego małego polskiego testamentu.

Ostatniego dnia lipca, w dzień świętego Ignacego Loyoli, patrona rekoalekcji, w towarzystwie błękitnookiej panny Z., którą w *Złocie Błogoraja* opisałem jako Makci Gnauck zakopałem książkę z Ameryki w okolicy Błogoraja w miejscu, gdzie, być może, spoczywają prochy Jego dziadka.

Przybyło jeszcze jedno miejsce, gdzie w listopadowe dni rozpalam płomyk świecy.

(dokończenie ze str. 10)

olśniewający przykład imponującej perfekcji dla perfekcji. Najbardziej sprawny technicznie zespół teatralny w Polsce — co raz szczerzej zamyka się w owej sprawności technicznej, która zdaje się ogarniać nie tylko sferę możliwości fizycznych ale i psychicznych wykonawców. Niesamowita jest nie tyle psychiczna dyspozycyjność — posiada ją lub imituje prawie każdy zawodowy aktor — ile towarzyszące jej odindywidualizowanie: aktorzy są tu członkami doskonałego chóru, mediami wyrażającymi uczucia i emocje uogólnione: miłość, nienawiść, strach „w ogó-

le”, miłość, nienawiść, strach tłumy, a może nawet przede wszystkim samą ideę wyrażania. Wydaje mi się, że od czasu *Gusel Gardzienice* zastępy, zmumifikowały się w owej coraz bardziej sterylnej techniczności. Przez ich szkołę powinni przejść wszyscy absolwenci naszych szkół teatralnych. Po to by, później zagrać nie miłość w ogóle, lecz miłość Tristana i Izoldy, nie fanatyzm w ogóle, lecz...

Wydaje mi się że bez takiej umiejętności pokazywania jednostkowego, konkretnego dramatu ludzkiego, teatr przestaje być teatrem a staje się sportem, zamienia się w poszukiwanie nie tylko nowych dróg

(co oczywiście cenne), ale i w proces samouwieblenia. A to już niebezpieczne...

IV

Myślę, że najsensowniejszym usprawiedliwieniem teatralnych pomyłek festiwalu jest zrodzona wokół przyznanej P. Brookowi nagrody im. T. Kantora idea międzynarodowych spotkań teatralnych. Ta-

kie spotkania mogłyby rzeczywiście stać się przeglądem tego, co najwybitniejsze we współczesnym teatrze. Oczywiście, o ile starczy nam pieniędzy i charakterów, aby nie zapraszać wszystkich twórców, którym zdarzyło się flirtować z kulturą polską i wszystkich artystów polskich, którym udało się pracować za granicą w tzw. zawodzie.

MAŁGORZATA RUDA

SPRAWA GAŁUSZKI

Jan Prokop

W czerwcu 1992 sąd wojskowy skazał ROMANA GAŁUSZKĘ na półtora roku więzienia za odmowę służby wojskowej. Gałuszce nie zezwolono na zastępczą służbę, gdyż, jak oświadczył przewodniczący sądu, w sytuacji, gdy wojsko posiada biskupa polowego (w randze generała) nie można powoływać się na zasady wiary katolickiej dla otrzymania służby zastępczej. Niektórym (Janusz Majcherek w „Czasie”) spodobał się taki rygor, służba nie drużba, ukarać dla przykładu, co by to było, gdyby inni poszli śladem... Inaczej niż p. Majcherek sądzę jednak, że powoływanie się na biskupa-generała stanowi bardzo groźny precedens. W Europie zachodniej, np. we Włoszech, odmawiające się w pełni uznawani przez Kościół, mają nawet swoje duszpasterstwo. Służba w wojsku albo służba cywilna to decyzja sumienia, którą Kościół tam w pełni szanuje. Inna nauka zbawienia obowiązywałaby zatem katolików zachodnioeuropejskich, a inna polskich? Orzeczenie sądu wpłatające Kościół do wyroku oznacza więc bardzo niebezpieczny dla polskiego katolicyzmu mariaż z instytucją państwową o dość szczególnym charakterze. Kościół miałby żyrować decyzje podejmowane przez tę instytucję? Warto by zapytać przewodniczącego sądu pokazanego w telewizji z licznymi orderami otrzymanymi, jak się zdaje w latach, gdy Ludowe Wojsko Polskie posiadało raczej pion polityczno-wychowawczy niż kapelanów, czy nie miewał

skrupułów w wykonywaniu rozkazów? Nawet choćby takich jak udzielenie bratniej pomocy Czechosłowacji, jak wprowadzenie stanu wojennego w 1981, jak pacyfikacja kopalni „Wujek”?... Służba nie drużba, by zacytować znowu p. Majchereka. Otóż, jakie polecenia będzie zmuszony wykonywać żołnierz dzisiaj, zależy poniekąd od kadry, w 90 procentach, niestety uformowanej w Ludowym Wojsku Polskim... Już to samo mogłoby powodować niejaki opór... Ale idźmy dalej. Doświadczenia naszego wieku w zakresie posłuszeństwa czy właśnie odmowy posłuszeństwa mogłyby nauczyć, że brak ludzi gotowych bardziej słuchać własnego sumienia niż rozkazu doprowadził niektóre narody do dna upodlenia. Gdyby nie miliony posłusznym niemieckich chrześcijan, armia hitlerowska nie byłaby w stanie poddać kontynentu europejskiego władzy ludobójców... Dlatego właśnie ci, co w sposób bezwarunkowy bronią prawa do własnej, samodzielnej decyzji sumienia, przynoszą szczególnego rodzaju świadectwo, drocenne dla każdej zbiorowości. Przypominają, że władza nie jest absolutna, że winna liczyć się z prawem moralnym zapisanym w naturze człowieka, że nie wolno jej lekceważyć tego prawa nawet w imię interesów państwa. Można oczywiście wymagać, aby służba zastępcza nie stanowiła okazji do dekowania się od trudów wojska, aby była również uciążliwa i przynosiła społeczny pożytek. Ale źle się dzieje w kraju, w którym osoba odmawiająca zabijania na rozkaz skazywana jest na więzienie.

Witold Turdza odkrywa nieznane arcydzieła

Niedawno wpadł mi w ręce skromny zeszyt oprawny w safian, z wyhaftowaną niezabudką. „Zbiór pieśni. ballad i poezji”, czyli po prostu sztambuch. Jego stroniczki pokrywa, starannie przepisane kaligraficznym pismem, wiersze. Naiwne, wzniosłe, sentymentalne, wzruszające. Z uśmiechem ale i łezką w oku przeglądałem ten skarbczyk wzruszeń, marzeń i uczuć. Bo wszystkie jego wiersze mówią o uczuciach. Wetknięte między kartki, zasuszone kwiatki — także.

W pewnej chwili spostrzegłem wśród tych poemacików prawdziwą perełkę: wiersz Adama Asnyka. Nic dziwnego. Poeta chętnie, jak wiadomo, wpisywał swe utwory pannom do sztambuchów. Wiele z nich dziewczęta same przepisywały, jak ten, który właśnie czytałem. Niejeden z tych wierszy został na zawsze zamknięty w sztambuchowej szkatułce wspomnień, ale też wiele można chyba jeszcze odnaleźć. Trzeba tylko sięgnąć do starych sztambuchów. Zobaczmy więc, jakie skarby one kryją.

Adam Asnyk

WSPOMNIENIE PEWNEJ MIŁOŚCI

Wieczór zapadał powoli,
Niepostrzeżenie,
Księżyc we gwiazd aureoli,
W błękitnych wchodził eterów przestrzenie.
Kwietne, wiosniane milczenie
Tęczowo, wonnie,
Czarem urojen niewolił.

Wokół prószyle w trawniki
Skier wodotryski,
Warkocz jej, gwiazdne płomyki
Brał w swoje sploty jak mgławic rozbłyki —
Prawiem ekstazy był bliski,
Kiedy przytomnie
Rzekła: „To przecież świetliki”.

Z licem z miłości pobladłem,
Z sercem spragnionym,
Na łak kobierzec upadłem
W szafiry oczu jej jasnych wpatrzony;
Rajskich upojeń miliony
Śmiało ogromnie
Z słodkich koralu ust kradłem.

Postać jej czystą, uroczą,
Chór dziwnie znany,
Dźwięków mgłą spowił przeźroczą,
A ogrom szczęścia wspólnego świetlany
Grał jak promienne organy —
Wtem rzekła skromnie:
„Żaby na deszcz tak rechoczą”.
W smugach perłowych miesiąca
Coś się wylania;
W blasku poświaty idąca
Anielska zjawa bogini kochania:
„Patrz pan, to skrada się niania —
Szepnęła do mnie —
I białej jaśmin roztrąca”.

Uczuć kwiat nowych rozkwitał
I wzdymał piersi.
Młodość w powaby obfita,
Zmysłowych ponęt wkrąg rozdźwiękła pieśni;
Serce przeszła boleśnie —
Ach, wdzięku wspomnień —
Szpilka w surducie zaszyta.
14 IV 1869

DEKADA LITERACKA — dwutygodnik kulturalny. Wydawca: Wydawnictwo „Gazeta

Krakowska”, Spółka z o.o. Adres: 31-072 Kraków, ul. Wielopole 1 IV piętro. Redaguje zespół: Zbigniew Baran, Leszek Elektorowicz, Krzysztof Lisowski (sekretarz), Jerzy Lohman, Włodzimierz Maciąg, Jan Prokop, Bogdan Rogatko, Dorota Terakowska (redaktor odpowiedzialny), Teresa Walas, Marta Wyka. Współpracują: Danuta Abrahamowicz, Stanisław Balbus, Anna Baranowa, Wacław Iwaniuk (Kanada), Stanisław Lem, Leszek A. Moczulski, Tadeusz Nyczek, Leszek Polony, Stanisław Rodziński, Marek Rostworowski, Małgorzata Ruda, Jan Józef Szczepański, Wisława Szymborska, Witold Turdza, Lucyna Walas — redaktor techniczny, Aleksander Pieniek — grafik.

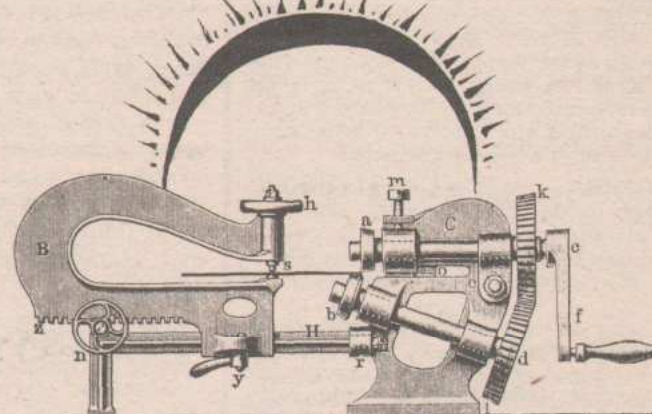
Dyżur redakcji: poniedziałki, godz. 13 — 15, tel. 22-36-23; piątki, godzina 16.30 — 28, tel. 22-65-48.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie prawo do skrótów.

„Dekada” najpewniejsza w prenumeracie: 36 tys. kwartalna, 72 tys. półroczna. Wpłaty należy dokonywać na konto: Wydawnictwo „Gazeta Krakowska” — PKP i OM 35510-1804334-136.

ISSN 0867-4094

wakacyjna maszyna do zabijania czasu



PATENT NR 28501007
ALEKSANDER PIENIEK

Hyde Park Czytelników

Z obfitej poczty napływającej do Hyde Parku wybraliśmy wiersz p. JACKA R. DACTERA z Zielonej Góry. Wyróżnia się on spośród innych nadesłanych przez tegoż autora utworów większą precyzją wyrazu i delikatnością refleksji.

POCZĄTEK PIEŚNI — fragment

Uważaj na każdą kropelkę deszczu
wstrzegaj się
słów szczerych wypowiedzianych zbyt wcześnie
i prawd które jeszcze są kłamstwem
Szukając pięknych liści
nie zapomnij o ciemnych miejscach
i pamiętaj każdą nutę
tę pełną i tę urwaną
z nich złożysz kiedyś pieśń
I kiedy już wiesz masz pewność —
oto jest Ktoś
kto stworzył dla mnie swój mały pokój
to stajaj delikatnie
nie zmieniaj w nim mebli
ani szklanek
usiadaj patrz
i czujny bądź na siebie

Camera obscura

Ignoracja naszych niektórych wydawców jest kompromitująca i szkodliwa w skutkach. Oto przykład: wydawnictwo „Kurpisz” (Poznań), występując zresztą tylko jako dystrybutor, ogłasza subskrypcję na reprint 20 tomów przedwojennej „Encyklopedii Gutenberga”. Wydawca najwyraźniej nie wie, że w r. 1937/38 ukazały się dwa tomy dodatkowych uzupełnień do tej edycji i — jak widać — nie zamierza ich przedrukować. A są to tomy ważne, bo zawierają wiele informacji nie uwzględnionych w innych encyklopediach. (hm)

Wciąż słyszymy i czytamy o Wspólnocie Niepodległych Państw. Tymczasem poprawny jest szyk: Wspólnota Państw Niepodległych. Mówimy przecież nie Zjednoczone Stany lecz Stany Zjednoczone (choć po angielsku United States), podobnie jak — Związek Radziecki (choć po rosyjsku Sowietkij Sojusz), Republika Federalna (choć po niemiecku Bundesrepublik). (hm)

Trudno zrozumieć, co miała na myśli Ewa Berberyusz („Gazeta Wyborcza” nr 182) pisząc, że „tożsamość polska objawiła się we Wrocławiu wraz z pierwszym ruchem „Solidarności”. Czyżby Uniwersytet Wrocławski, Ossolineum, Teatr Grotowski, „Odra” nic nie znaczyły? (hm)

Wakacyjny numer „Twojego Stylu” przynosi gigantyczny artykuł na temat żon polskich polityków. Tekst jest godny uwagi, bo — jak wiadomo — pośredni wpływ kobiet na politykę bywa ogromny. Obok wiadomości drugorzędnych, jak ta, że pani Olechowska „sama utrzymuje szaro-granatowo-niebieskie wnętrza (ręcz jasna: domu) w stanie permanentnego blasku”, oraz prasuje tygodniowo co najmniej 21 koszul, otrzymujemy informacje bardziej elektryzujące. Pani Małgorzata Tuskowa, jak przystało na żonę liberała, głosi śmiało pogląd, że „bieda trzeba się wstydzić”. Najbardziej wszakże przykuwa uwagę wypowiedź pani Małgorzaty Bocheńskiej-Parysowej, która roztacza przed naszym osłupiałym okiem taki oto epizod ze swego, jak się można spodziewać, pełnego przygód życia: „Byłam sama na Saharze z dziećmi. Jedno przy piersi, drugie na plecach, trzecie za rączkę. Zachorowały. Najbliższy lekarz — 70 kilometrów przede mną. Mogłam uciec i zwołać bezradnych kobiet rozplakać się. Mogłam zawziąć się i powiedzieć: dojdę! A ja spojrzalam na słońce i powiedziałam: Mój Boże, skoro dałeś mi to życie, to dasz i siły, żeby je ochronić”. Rzecz jasna, Pan Bóg musiał się ugiąć pod naciskiem takiej wiary, wszystkim jednak, którzy los swój chcą związać z rodziną Parysów, tekst ten należy polecić pod rozwagę: nigdy nie wiadomo, kogo następnym razem wezmie pani Parysowa ze sobą na spacer przez pustynię, ani jak długo Pan Bóg zechce respektować jej optymizm. (tw)